

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 6. VIII. 1950 r.

Nr 31 (262)

ADAM POLEWKA

NOWA HUTA ZNOSI „NĘDZĘ GALICJI”

Zabór austriacki, irracjonalnie zwany Galicją i Głodomą, akumulował w pewnym sensie na obszarze naszego województwa przykładową nędzę chłopską, robotniczą i inteligentną, zacołanie gospodarcze i ciemnotę, szczególnie wsi. Od Wisły ku górom, jeśli odliczymy dołączone po wojnie i względnie zamożniejsze powiaty miechowski i olkusi, legła od dziesiątek lat przysłówiowa i beznadziejna galicyjska nędza. Austriacki zabórca usiłował w pierwszych dziesięcioleciach lat po rozbiorach ze wgle-

Upośledzony, ubogi, nędzny dotychczas obszar Polski południowej dopiero w epoce socjalizmu znalazł wyjście ze ślepego zaułka gospodarczego i z beznadziejności bytowania.

*
Niedorozwój, skarcenie gospodarcze województwa krakowskiego w przeszłości wytworzyły w naszym województwie typ człowieka albo tak przytłoczonego nędzą, że indywidualna troska o jednostkowe jutro stała się jego filozofią życiową, pełną rezygnacji, którą tylko od czasu do czasu mącił odruch żywiołowy buntu.

i uważało za szczyt protestu społecznego „Zielone baloniki”. Gdyby Kraków i województwo krakowskie były okręgami przemysłowymi, wiele zjawisk kulturalnych wyglądałoby inaczej, inną byłaby psychika krakowska. Zabytków i pomników historii, niewątpliwie pięknych i bezcennych, nierobionoby w literaturze programów ideologicznych i politycznych, nie byłoby chorej twórczości Wyspiańskiego i recepty „Wesela” na odrodzenie narodu przez oparcie się o chłopski prymityw i chłopską żywiołowość. Orkan znalazłby dla nędzy chłopskiej jako rozwiązanie nie marzenie utopijne albo lament beznadziejny, ale walkę klasową, ale rewolucyjną drogę do społecznego wyzwolenia chłopów i robotników, na którą to drogę nie wstąpił mimo wpływu, jaki na niego wywarł Julian Marchlewski. Nie byłoby „nobilizacji” na inteligenta przez matkę — jak to określił Boy Żeleński, nie czułyby się inteligenci tak różną i wyższą wartością społeczną, jaką się czuli widząc

swą przyszłość głównie w biurokracji i w karierze, a uczeni krakowscy nie byłoby kasty kapłanów wiedzy, a nawet mole książkowe nie musiałyby być ramolami.

W takich warunkach na ziemi krakowskiej mógł kwitnąć feudalny arystokratyzm, jego imitacja w dziedzinie kultury w formie „arystokratyzmu ducha”, drobniemiejszczańskie kultuństwo i o dostojnej tuszy — klerikalizm.

*
Polska Ludowa wiele już zmieniła w psychicznej strukturze naszego województwa likwidując obszarników i kapitalistów. Jak w całej Polsce tak i w naszym województwie rosną nowi ludzie, ludzie epoki socjalizmu. Rośnie przede wszystkim nowy typ człowieka wśród młodzieży. Obecnie budownictwo socjalistyczne pociąga, urzeka, a Nowa Huta w pragnieniach i marzeniach nie tylko młodzieży ale i ludzi dorosłych (i starszych nawet) urasta do rozmiarów legendy. Ludzie



Nowa Huta

z dnia na dzień coraz więcej żyją Nowa Huta, jako punktem centralnym i symbolem gospodarczej przebudowy naszego województwa.

Ustawa o 6-letnim planie tak kreśli obraz tej przebudowy:

„Należy silnie rozbudować wielki przemysł w okręgu krakowsko-chrzanowskim oraz rozpocząć uprzemysłowienie doliny Dunajca i dzięki temu zmniejszyć przeludnienie rolnicze, występujące jeszcze w województwie krakowskim.

Należy wybudować nową wielką hutę pod Krakowem, rozbudować na wielką skalę zakłady chemiczne w Dworach. Wybudować zakłady górniczo-hutnicze, cynku i ołowiu w rejonie Olkusza i Chrzanowa, zakłady przemysłu bawełnianego w Andrychowie, fabryki włókien białych i dwusiatarkę węgla w Bochni, elektrownię ciepłą w Jaworznie oraz 40 innych zakładów przemysłu wielkiego i średniego, zwiększyć wartość produkcji przemysłu socjalistycznego ponad trzykrotnie oraz podnieść zatrudnienie w przemyśle do 230 tys. osób.”

Liczba izb mieszkalnych ma być w związku z budownictwem przemysłowym zwiększona o 83 tysiące, głównie przez budowę miasta Nowej Huty. Budownictwo mieszkaniowe będzie prowadzone również w Chrzanowie, Trzebnicy, Jaworznie, Szczakowej, Oświęcimiu, Olkuszu, Andrychowie, Tarnowie, Nowym Sączu, Bochni i Nowym Targu.

W związku z budownictwem przemysłowym ma być rozbudowany węzeł krakowski kolejowy i drogowy, głównie dla potrzeb Nowej Huty.

Ustawa określa wysoki procentowy wzrost produkcji rolniczej i hodowlanej. Nakazuje rozwinąć gospodarkę warzywniczą i sadowniczą. Nie zapomina też o współpracy z przyrodą. Ma być przeprowadzone zalesienie terenów narażonych na erozję wodną na obszarze ok. 30 tys. ha. Zalesione mają być zwłaszcza zbocza górskie. Nędza chłopska, rabunkowa gospodarka sanacyjnych spóbków kapitalistycznych w okresie międzywojennym, wreszcie okupacji hitlerowskiej — te czynniki doprowadziły do dewastacji wielkich obszarów leśnych naszego województwa. Wyteplenie lasów i obnażenie zboczy z szarym piaskiem wpłynęło na rozległych okolicach karpackich na wyschnięcie źródeł i potoków oraz obniżenie poziomu wody gruntowej, a przez to dalsze jałowienie ziemi. W okresie ulewnych deszczów woda z pozabawionych roślinności zboczy spada w dół jak z dachu i rodzą się klęski powodzi. Projektowane przez ustawę zalesienie ma likwidować owe orkany. Dla ochrony przed powodzią ma być zbudowany zbiornik na Dunajcu, który zarazem służyć będzie celom energetycznym.

W województwie krakowskim buduje się zatem największe obiekty planu 6-letniego, giganty polskiej 6-latki. Roczna produkcja Nowej Huty będzie wynosiła więcej niż przedwojenna roczna produkcja wszystkich istniejących w naszym kraju hut. Produkcja elektrowni w Jaworznie stanowić będzie poważny procent produkcji energii elektrycznej w Polsce. Zakłady Chemiczne w Dworach koło Oświęcimia, stanowić będą jeden z poważniejszych obiektów rozbudowanego przemysłu chemicznego w Polsce.

Budowa tych obiektów wiąże się z budową nowych linii komunikacyjnych, kolei, dróg bitych, rzecznych, mostów, wiaduktów, a przede wszystkim z budową nowych miast robot-

nich, jak miasto przy Nowej Hucie na 100.000 mieszkańców oraz osiedla w Oświęcimiu na 40.000 mieszkańców.

Przy budowie tych obiektów pracować będzie 50.000 ludzi, a zakłady te w okresie produkcji zatrudnią 50.000 robotników. O skali budowy tych obiektów dają wyobrażenie takie np. fakty, że budowa Nowej Huty pochłonie półroczną produkcję wszystkich cementowni w Polsce, a dla budowy samego obiektu przemysłowego potrzeba 100.000.000 cegieł. Koszt budowy Nowej Huty przerósł 30-krotnie koszt budowy trasy W—Z.

Do chwili obecnej wybudowano już w Nowej Hucie 55 bloków mieszkalnych, z czego oddano do użytku 19. Wybudowano 24 km dróg kolejowych i naprawiono 75 km, wybudowano 16 km linii kolejowych, zbudowano most oraz szereg przejazdów kolejowych. Wykopano i przewieziono blisko milion metrów sześć ziemi, dokonano szeregu prac przy budowie portu na Wiśle.

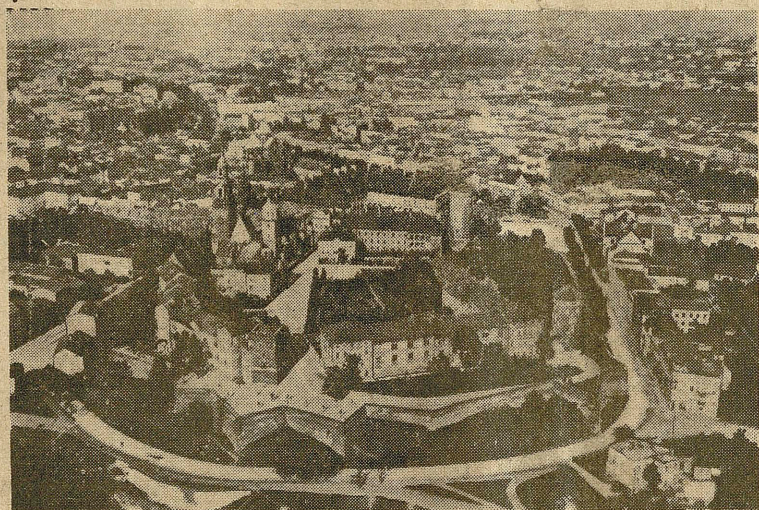
W Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu odbudowano i wybudowano wiele hal fabrycznych, zmontowano olbrzymie ilości urządzeń produkcyjnych. Wybudowano i oddano do użytku 2.000 izb mieszkalnych. Wykonano mnóstwo prac laboratoryjnych i próbnych.

Tych kilka przykładów wystarczy dla ilustracji rozmachu z jakim przystąpiono do uprzemysłowienia naszego województwa.

Gigantyczne dzieło budowy Nowej Huty i innych obiektów przemysłowych jesteśmy w stanie prowadzić dzięki wspaniałej i braterskiej pomocy Związku Radzieckiego. Pomoc ta polega na dostarczaniu dokumentacji technicznej, najnowocześniejszych urządzeń, maszyn i sprzętu oraz na stałej współpracy wybitnych radzieckich fachowców. Jak bohater Armia Radziecka uratowała od zniszczenia i zagłady przez swoje poświęcenie, wspaniałą odwagę i genialną stalinowską strategię wsie i miasta naszego województwa, a w szczególności Kraków, tak teraz radziecki robotnik i inżynier podał nam braterską pomocną dłoń w budowaniu lepszego socjalistycznego życia. Jak w okresie wojny związała naszych żołnierzy z żołnierzami radzieckimi wspólnie przelana krew na polach bitew przeciw faszystowskiemu barbarzyństwu, tak dziś na polach pokojowej walki o naszą gospodarczą i kulturalną przyszłość cementuje się braterstwo radzieckich robotników z polską klasą robotniczą, przeciwstawiając barbarzyńskim działaniom i planom kapitalistycznych wojennych podżegaczy twórczą, pokojową, socjalistyczną pracę.

Budowanie przemysłu w ramach planu 6-letniego zmienia już w tej chwili strukturę społeczną naszego województwa. W ciągu roku załogi na trzech budowanych w Nowej Hucie, Jaworznie i Dworach wzrosły do 24.000 ludzi, a do końca roku wzrosną do 36.000. Obok robotników wykwalifikowanych gromadzą się coraz liczniej ludzie ze wsi, młodzi chłopcy głównie z południowych powiatów woj. krakowskiego, a wśród nich młodzież wiejska zorganizowana w brygadach SP i ZMP, oraz kobiety. Już teraz 95 proc. zatrudnionych to ludzie nowi w budownictwie i przemyśle, ludzie ze wsi, wrastający w klasę robotniczą. Są oni jeszcze mniej lub więcej ze wsi związani, politycznie jeszcze mało uświadomieni, nie posiadają przyzwyczajenia i tra-

(dokończenie na str. 6-jej)



Stary Kraków

dów podatkowych sztucznie uprzemysłowić Galicję, sprowadzając niemieckich rzemieślników i przemysłowców po linii polityki germanizacyjnej, biurokratycznie propagując pewne nawet nie mające zbytu galezie przemysłu jak np. północzniekarstwo, wykwalifikowane połączenie itp., ale już zaprowadzenie połączenia kolejowego Galicji z zachodnimi austriackimi prowincjami w połowie XIX wieku spowodowało, głównie przez obniżkę kosztów transportu, że przemysł austriacki najpierw zagroził poważnie zaczątkom galicyjskiego przemysłu, a wreszcie spowodował upadek galicyjskiej twórczości przemysłowej. W tym czasie ustalili się w Wiedniu poglądy, że rola Galicji winna ograniczać się do roli kolonii rolniczej, nabywającej z krajów austriackich produkty przemysłowe. Toteż, gdy w Królestwie Polskim i dzielnicy pruskiej po roku 1870 mamy znaczny rozwój przemysłu, w Galicji w ostatnich dziesięcioleciach wieku XIX-go produkcja spada a zakłady pracy ulegają likwidacji. W latach 1871 — 1875 upadło 6 hut szkła. W latach 1871 — 1875 upadły cukrownie tak, że w następnym dziesięcioleciu w ogóle nie produkowano w Galicji cukru. Produkcja rudy żelaznej spadła w latach 1889 — 1904 z 9.000 ton w 3.800 ton. W roku 1905 zamknięto ostatnią hutę żelaza. Od tam ruda żelazna galicyjska była przetrapiana poza granicami Galicji. Rosta jedynie produkcja węgla kamiennego, ropy naftowej i soli. Dla województwa krakowskiego pewne znaczenie miało tylko górnictwo węglowe, bo kopalnie soli w Bochni czy Wieliczce niewiele podnosiły swoją produkcję i niewiele mogły nowych rąk zatrudnić.

W Polsce międzywojennej rządy burżuazji, a w szczególności rządy sanacyjne, darzyły województwo krakowskie conajwyżej frazesami o konieczności zmian w gospodarce i strukturze. Nędza galicyjska zmieniła tylko nazwę na sanacyjno-mocarstwowa, a biurokracja sanacyjna wielbiła i zalecała do wielbienia zamiast bokobrodów Franz-Josefa — wasy Pilsudskiego, też Józefa.

Przeludnienie wsi, szczególnie podgórszych, w województwie krakowskim było tak jaskrawe i tak straszliwe już z końcem wieku XIX-go, że Władysław Orkan w roku 1900 pokazuje w noweli „Nad urwiskiem” chłopów, którzy patrząc na coraz większy podział gruntów, na coraz węższe chłopskie polka — widzi pod swoimi nogami „czarną otchłań” — przepaść. To przeludnienie sprzyjało masowemu charłactwu, epidemiom i chorobom na skutek głodu lub niedożywiania, a wreszcie masowej emigracji do krajów zachodnich, i Ameryki.

Reforma rolna, likwidacja obszarnictwa i przesiedlenie na ziemie zachodnie dość znacznej liczby ludzi, szczególnie chłopów, nie rozwiązały i nie mogły całkowicie rozwiązać problemu przeludnienia w województwie krakowskim. Ten problem rozwiązuje uprzemysłowienie naszego województwa i równoległe z nim organizacja spółdzielni produkcyjnych.

albo też formował drobniemiejszczański światopogląd, nazwany kiedyś przez „Zielone baloniki” „światopoglądem krakowskim”. Ten „światopogląd krakowski” rozwijał się w dziedzinie politycznej od czarno-żółtego lojalizmu do kopca Pilsudskiego, w dziedzinie zapatrywania społecznego od feudalnego „konserwatyzmu do solidarystycznych nastrojów słynnego „Illustrowanego Kuriera Codziennego” i jego prasowo-brukowych przybudówek, od pielgrzymek do Kalwarii do chrześcijańskiej-demokracji i prawicowej PPS, jako szczytu postępowości mieszczańskiej. Trafnie westchnął w 1924 roku jeden z prawicowych przywódców PPS, mówiąc do swoich kolegów: „Popelniliśmy błąd, żeśmy po wojnie nie tworzyli wielkiego stronnictwa mieszczańskiego”. Supremacja, ideologiczne panowanie nad Krakowem i województwem krakowskim drobniemiejszczaństwa, biurokracji, kamienicznika, zacołanego rzemieślnika, dorobkiewicza — kupca, nawet na ruchu robotniczym wyciskały swoje piętno. Brak wielko-przemysłowego proletariatu, mały stosunkowo procent ludności zatrudnionej w wielkich zakładach produkcyjnych, dawał mieszczaństwu i drobniemiejszczańskiemu kulturowi możliwości wywierania ideologicznego nacisku i umacniania władzy kapitalistycznych wyzyskiwaczy.

Mimo tak niekorzystnej bazy gospodarczej nie brak dziejom Krakowa pięknych rewolucyjnych momentów. Włączył się Kraków i ziemia krakowska w kościuszkowską rewolucję, głoszącą stałą się tragiczną, ale piękna w swej postępowości rewolucja 1846 r., potem rewolucja r. 1848, chłopska partyzantka w lasach chrzanowskich prowadzona przeciw austriakom w 1849 r., sławny był proces Waryńskiego i towarzyszy, wprowadzenie tylko młodzieży studenckiej, inteligentów i rzemieślników — w roku 1880, a wreszcie kiedy z początkiem XX wieku powstały w Krakowie stosunkowo większe zakłady fabryczne i począł narastać proletariatus, nurt rewolucyjny znalazł już swoje oparcie w robotnikach fabrycznych. W historii Krakowa zapisały się czerwonymi zgłoskami rok 1923 i 1936, lata rewolucyjnej walki.

W dziejach województwa krakowskiego zapisały się walki i strajki chłopskie, jak Zapanów, walki w Li-manowskim itp. Był Kraków przez dziesiątki lat bazą napływowych rewolucjonistów, zapisał w kartach swojej historii pobyt wielkiego Lenina i przyjazd Stalina w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową, ale musiał czekać aż do epoki socjalizmu, aby stać się w pełnym sensie bazą społeczną dla przemian rewolucyjnych.

Upośledzenie gospodarcze Krakowa i krakowskiego województwa, tworzyło wśród większości inteligencji typ umysłowości chorej, pełnej pretensjonalności, zarozumiałego tradycjonalizmu, bezproduktywnych marzeń o wielkości, świecących blaskiem próżni, tworzyło inteligentnie buntowanie się, które szamotało się w atmosferze drobniemiejszczańskiej

MARIAN L. BIELICKI

W oczach robotnika

Towarzyszom w Starachowickich Zakładach

Robotnik patrzy:

Długa hala,

franki sadzy nad głowami

Z tokarki spływa wstęga stali

Jęklwie brzęcząc po betonie...

Na ścianie czerwien materiału —

transparent. Napis już spłowił:

„Plan sześciolenny wykonamy...”

Robotnik mocniej zwiera dłonie,
obrotem trybów mierzy lata,
stępsami części normy mnoży
i dzień dzisiejszy z jutrem spleta...
Sześć lat to jeszcze nie najgorzej.

Huczą tokarki zgodnym chórem,
jak struny harfy rozedrgane.
Przed nimi czas spłoszony zmyka,
a na wykręcie biegnie w górę
linia zwycięstwa, krzywa planu
wiedziona ręką robotnika.

Robotnik myśli:

Mały synek

pewno zasypia w swej kołysce...

— Tadeusz, skocz do magazynu,

stali nie wiele mi zostało.

Tokarka kołysankę nuci...

— Co myślisz, Tadek? Jak czas skrócić?

trzeba się za to wziąć, a wszyscy!

Sześć lat, rozumiesz, a mój mały
wtedy do szkoły zaczął chodzić
i przed tą szkołą będą... różę,
ja chcę by kwiaty miała młodzież.
Sześć lat to wcale nie tak dużo.

Trzeba je tylko w ryzach trzymać,
Plan mówi tysiąc — ja dwa daję.
Patrzcie, tokarka mnie rozumie,
Patrzcie, jak słucha mnie maszyna
i w marcu plan kwietniowy kraje
bez głośnych fanfar i bez szumu.

Robotnik widzi:

Jego praca

utwierdza świat szczęśliwych ludzi,

Dwie normy dziennie! To czas skracaj,

to wznosi setki szkół dla dzieci,

wyszcza kominami w niebo

i, by nie brakło nigdy chleba,

skorupę ziemską ze snu budzi.

Myśl robotnika w przyszłość leci,
ręce budują radość syna.
Sprężynę czasu tokarz poznał:
kiedy się żyje pasją czynu
sześć lat i w trzy wykonać można.

Zegar odmierza czas powoli,
spokojnie śpi w kołysce dziecko...
Robotnik, lata gniotąc w palcach,
z myślą o planach, różach, szkołach,
do swej tokarki cicho szepeje:
— O, tak walczcie!

Marian L. Bielicki

WIEŚ O PLANIE 6-LETNIM

Mówiąc o realizacji planu 6-letniego Prezydent Bierut stwierdził: „Warunkiem naszego zwycięstwa jest, aby każdy człowiek pracy stał się świadomym twórcą planu 6-letniego. Trzeba więc, aby każdy od dziecka poczynając — znał Plan i program budownictwa socjalizmu, aby każdy człowiek pracujący stał się oddanym sprawie budowy socjalizmu, bojownikiem i ofiarnym realizatorem Planu 6-letniego”.

Zamieszczone obok glosy korespondentów to pierwszy odzew terenu na plan 6-letni. Głosy te aczkolwiek pisane „na gorąco” bez należytego zgłębienia całej problematyki wskazują, że warunki, o którym mówił Prezydent Bierut zaczynamy realizować, że plan zaczął przenikać w masę wiejską, że mało i średniorolny chłop zaczyna plan widzieć „koko siebie” w miejscowych konkretnych zamierzeniach i osiągnięciach, w jego miejscowym działaniu. Wyjaśnić plan 6-letni, popularyzować go, umiejscawiać i uczyć rozpoznawać w terenie — to podstawowe zadanie naszego aktywizmu na wsi. O doniosłości tego zadania mówi głos Jelonek. Jego rozmówcę nie zadawała oświadczenie, że w planie 6-letnim produkcja rolna podniesie się o 50 procent. Pada rzeczowe pytanie, w jaki sposób? Kto w terenie potrafi przekonywać odpowiedzieć na to pytanie, ten zdobywa towarzysza w marszu do socjalizmu. Umieć odpowiedzieć na to pytanie to znaczy najskuteczniej przeprowadzać ideologiczne szkolenie. W „tajemnicy” planu nowego i stalego podnoszenia produkcji zawiera się właśnie istota socjalizmu. Poprzez walkę klasową zmusimy wyzysk człowieka przez człowieka, wyzwalamy pracę, a więc umożliwiamy jej wyższe formy: współzawodnictwo i racjonalizatorstwo, a więc podnosimy jej wydajność, a więc osiągamy stały wzrost produkcji.

Plan 6-letni to plan równania dróg do socjalizmu, wyrównywania różnic gospodarczych, to plan, który wykresła się słownikiem pojęć zapadłych kątów i stęchłych dziur. Prowiniecia stają się pojęciem czysto geograficznym a nie gospodarczym. Wielkie ramy planu 6-letniego pobudzają chłopów do planowania we własnym terenie do opracowywania i realizowania własnych miejscowych planów. W każdej okolicy wylatują się specyficzne zadania. W gminie Kozłowski, jak donosi Jelonek, planuje się elektryfikację i kanalizację, zmianę nawierzchni dróg oraz odwodnienie łąk, zabagnionych na skutek zapadania się terenu nad starymi

kopalniami. Osobne zagadnienia ma wieś podhalańska, o której pisze Andrzej Skupień — Florek.

W przemówieniu końcowym na V Plenum KC Partii Prezydent Bierut powiedział: „...wiemy, że na nasz plan 6-letni wróg odpowie jeszcze wścieklejszą nienawiścią, jeszcze podstępniejszą walką, jeszcze bardziej niż dotychczas perfidną i zartutą bronią”. Wróg już odpowiedział. Czytamy o tym w wypowiedzi Seweryna Skulskiego. Metody walki to „straszanie planem sześciolatnim”. Chodzi o odsmięcie chłopów od planu, o zneutralizowanie mobilizującego, aktywizującego charakteru planu, o podważenie wiary w jego realizację. Wypowiedź ta uzmysławia nam jasno, jak bardzo centralnym punktem walki klasowej staje się plan 6-letni. Wróg bowiem zdaje sobie sprawę, że nie jest to tylko plan gospodarczy. „Plan 6-letni — to plan, który stworzy mocne i nieustraszone podstawy nowego ustroju społecznego w Polsce, podstawy socjalizmu”. „Plan 6-letni to program nie tylko gospodarczy lecz równocześnie ideologiczny, polityczny, społeczno-ustrojowy”. Plan sześciolatni zakłada uaktywnienie mas chłopskich, ich świadome i czynne włączenie się w budownictwo socjalistyczne. Przez pierwsze lata po Manifestie Lipcowym często działo się tak, że Państwo Ludowe dawało, a chłop brał, klasa robotnicza wyścigała go z wędzą i wyzysku a on ledwo na to „pozwał”. Nie mogąc skutecznie przeciwstawić się przemianom wsi polskiej wróg klasowy starał się i stara, by te przemiany przechodziły, jeśli już nie wbrew to przynajmniej mimo chłopów i poza nich...

Lecz wróg klasowy przegrzyna i na tych pozycjach. Lata realizacji Manifestu Lipcowego, planu odbudowy i planu trzyletniego rozbudziły w masach pracujących chłopstwa świadomość klasową i ugruntowały zaufanie do władzy ludowej. Dobitnie o tym mówi wypowiedź Skulskiego. Z „przedmiotu” budownictwa socjalistycznego, chłop staje się jego świadomym i czynnym podmiotem. „Plan 6-letni to my i nasza praca” — mówi ob. Kosicki z Karnkowie, a dwuhektarowy biedniak Szymczak zapowiada: „będę się domagał, ażeby w środku naszej wsi stanął wielki dom kultury, bo ten lokal świetlicowy, jaki mamy nie zadawała mi”.

To jest odpowiedź wrogowi na próby utrzymania chłopów w bierności i bezwładzie. To jest gwarancja, że podstawowy warunek wykonania planu zostanie spełniony.

Redakcja

Seweryn Skulski

Już nie ta przedwojenna wieś

Moja wieś Karnkowo ma tytuł pierwszej wsi w gminie Jastrzębie, ale czy słuszne? Pomimo, iż tu jest najwięcej członków ZMP, tu jest siedziba ośrodka maszynowego i gminnej spółdzielni, tu odbywają się gminne uroczystości i obchody. Ma jednak moja wieś kilkunastu dawnych przywódców wsi przedwojennej, chłopów, którzy są wstecznych zapatrywani. Oni kiedyś tworzyli komitet parafialny, oni z byłąm dziedzicem omawiali potrzeby wsi i zawsze dochodzili do wniosku, że we wsi wszystko dobrze, więc nie potrzebują, chociaż mieliśmy tu ponad 50 nikomu nie potrzebnych ludzi a młodzież bez celu, bez nauki, chleba i potrzeb kulturalnych waleśała się po wsi. Ci przedwojenni wodzowie wsi, każdy postęp swych uszu nadstawiając, że po wykończeniu tego planu każdy z nas zostanie bez koszuł i igły na własność posiadać nie będzie.

W mojej jednak wsi są właściwie dwie wsi. Ta druga wieś składa się z Tomczaków, Wojciechowskich,

Głowackich, Kuligowskich, Kosickich, Wiśniewskich i wielu innych, którzy w większości wieś zamieszkują a posiadają od kilku arów do czterech ha ziemi i rodziny składają się nieraz z 10 osób. Ta druga wieś widzi wyraźnie, odczuwa i rozumie różnicę między życiem przedwojennym a obecnym. Przestoczenie w ich zapatrywaniach jest wielkie. Nie są oni zadowoleni z dotychczasowych osiągnięć mojej wsi, ale dlatego, że pragną dalszych jeszcze głębszych przeistoczeń.

Leon Wojciechowski trzy hektary powiada tak:

— Każdy ojciec winien dbać o zapewnienie przyszłości dzieciom swoim. Mam ich siedmiu, w czym pięciu chłopów posusznych i chętnych do nauki. Z bojaźnią patrzę na nich przed wojną. Wiadomo, wianować nicem ich nie mogłem, na naukę nie było. Dziś przekonałem mnie, że ja jestem ich rodzicem a ojcem im stała się Polska Ludowa. Czterech moich chłopów uczęszcza do szkoły zawodowej, gdzie uczą się dobrze. Sześciolatni plan wszedł w życie i gdy go wykonamy — ja nie mam żadnej bojaźni o przyszłość swoich chłopów. Do „Ameryki” nie potrzebują jechać, tu w

parafialnego. Czy to chrzciny czy inna okazja, zapraszałem go w gościnę, bo jakże by nie — wódz wsi. On żenił jedną córkę, żenił drugą czy mnie i żonę moją zaprosił? Byłoby mu to ułudzeniem, gdybym ja dwu hektarowy znalazł się tam, gdzie częściej się wójta, rzadce, organistów, sklepikarza.

Tak samo straszny mnie planem sześciolatnim. A ja całkiem na ten plan patrzę inaczej. Przecież powiększenie produkcji rolnej i fabrycznej nie będzie, ale polepszenie warunków życiowych nam przyniesie. Ja jak przystąpię do spółdzielni produkcyjnej to będę pracował uczciwie i będę się domagał, ażeby na srodku naszej wsi stanął wielki dom kultury, bo ten lokal świetlicowy, jaki mamy, nie zadawała mi. To jest nic, podług tego co nam plan sześciolatni dać powinien.

Czterech hektarów Józef Głowacki mówi:

— Wita wy, chłopcy, że maszyna w rolnictwie to wielka rzecz. Ani sobie człowiekowi kości nie łamiesz, zrobisz prędzej i lepiej. Mówta co chceta, ale ja wam powiadam, że żniwiarka, kopaczka, siewnik zbliży nas do wspólnej pracy. Bo czy ty, człowieku, na tym małym skrawku ziemi możesz jedną i drugą maszynę nabyć? Każdy z nas stęka i gada, że przydałoby się to i tamto, ale to tylko gadanie. Patrzą jak mnie i sąsiadowi tego roku idą sprawnie żniwa przy sąsiedzkiej pomocy z pomocą maszyn. Aniś się chłopie obejrzał a żyta w sнопach już wsia!

Mam ośmiu dzieci a ziemi mało, ale ani na chwilę strach mnie nie przechodzi w czym oni jutro będą chodzić co jeść, gdzie mieszkać i co robić. Wiem, że plan sześciolatni da im jedno i drugie.

Gadają ludzie bo gadają. Miodem takiego wysmarują a on jeszcze będzie gadał. Ale jak dobrze pomyślisz coś, gamoniu miał a co masz i jak cię traktowano to przestań nieszapać a mówić po ludzku zacznieś.

Kulturalne potrzeby mojej wsi są wielkie. Dzisiejszy lokal świetlicowy jest w nieodpowiednim miejscu, i nie jest należycie obsługiwany. Kierownictwo zespołu świetlicowego jest w dobrych rękach, ale to jedne ręce nie są w stanie wszystkich robót wykonać a co za tem, idzie kuleje praca w zespole, np. ped do sportu u młodzieży jest wielki, talenty śpiewacze i teatralne są, brak instruktorów których by naprawde młodzież pokochała i żywiłowo za nimi poszła. Umieemy wiele uchwalać, referaty głosić i projektować sypać jak z rękawa, ale do wy-

konania sami się nie bierzemy. Wieś, moja wieś postępową wierzy, że plan sześciolatni da jej kogoś, kto będzie umiał i kto zechce z naszą wsią popracować i pokierować jej życiem kulturalnym i gospodarczym. Ludzie do tej pracy u nas się znajdują, trzeba ich tylko wyciągnąć i szkolić. Tych kilku starych „wodzów” co nas tumanili, młodej i postępowej wsi rady nie da, wieś pójdzie do socjalizmu i wspólnej zespółowej pracy.

Ziemia we wsi naszej nie oczekuje nas, jeżeli my jej oszukiwać nie będziemy. Szymczaki, Tomczaki, plan sześciolatni wprowadzają w życie na swoich kilku hektarach. Zakontraktowali lny i konopie, przeczytali instrukcje, poradzili się tych, którzy coś wiedzą o tych roślinach, zasiali w porę i w odpowiednie miejsce. Mają lny do pasa, konopie ponad głowę. A jak to robią piętnastohektarowi wobec tego planu i ci, którzy stracili wodzostwo nad wsią?

A no, podnieśli się na zebraniu gromadzkim i dla oka pobrali po 10 arów lnu i konopi i aby „udowodnić” że ich ziemia tego nie obrodzi i aby na rok następny tego nie kontraktować; lny i konopie posiali tam, gdzie się nie urodzą, posiali za późno i z chwastami nie walczyli. W porze rwanía ich lny są nikie, konopie — nedza.

To ukazuje jeden ze sposobów walki bogaczy i wsteczników z planem sześciolatnim.

We wsi mojej w miarę rozrostu gminnej spółdzielni, rosną kadry organizacji podstawowej. A przedziwne przygotowania gromadzkie wykazały, że mieszkańcy wsi tego roku z większym zrozumieniem własnego i ogólnego dobra przystąpili do pracy. Ta łączność i zrozumienie będzie się dalej pogłębiać. Jeszcze jest i zio, ale we wsi jest coraz więcej takich, którzy je widzą i palcami, bez obawy czy ktoś ku moter, czy sąsiad, pokazują.

To wszystko świadczy o rosnącej świadomości klasowej w mojej wsi. Postępową jej część myśl tak, jak się wyraził trzy hektarowy ob. Kosicki — „Plan sześciolatni to my i nasza praca”.

Seweryn Skulski Karnkowo.

Jan Jelonek

Pierwszy krok

Nieraz rozmawiałem z sąsiadami na temat wzrostu produkcji w okresie 6-letniego planu.

— Ja rozumiem, twierdzi mój ciagły oponent Franciszek Ł., że gdy wstawie do fabryki więcej maszyn i przy nich postawi więcej ludzi, to dadzą nam więcej towarów. Ale jak my mamy podnieść produkcję o 50 proc. Dotychczas uzyskujemy 12 q żyta z ha i 80 q ziemniaków z ha. Czy samo nawożenie może wpłynąć, aby otrzymać z hektara 18 q żyta i 120 q ziemniaków?

— Plan 6-letni — wyjaśniam — nie tylko przewiduje wzmocnienie produkcji nawozów sztucznych i maszyn rolniczych, ale planuje również wykształcenie tysięcy specjalistów potrzebnych w rolnictwie. Instytucje naukowe pracują nad wyprodukowaniem nowych bardziej rodných odmian lub przyswojeniem cenných odmian i gatunków z Krajów ZSRR. My zaś ze swej strony musimy zmienić nasz sposób uprawy jednokierunkowej i 2-u polowej i przejść na uprawę wielokierunkową i wielopolową. Na naszych 1/2 do 2 hektarowych gospodarstwach my nie potrafimy, tego postępu wprowadzić bo się rozdrabniamy w produkcji i wysiłkach. Dziesiątki hektarów w postaci dróg polnych, miedzi i wygonów leżą odłogiem i nie dają żadnych korzyści.

— Tak, to racja, ale jak zrobić spółdzielnię, gdy jest 300 płatników podatku gruntowego a 500 ha gruntów? Żeby tak łąki odwozić i pastwiska uprawić, to byśmy pokazali jak się społecznie gospodarować wzdycha Franciszek — a tak bym chciał, żeby Porąbka przodowała całej okolicy. W naszej okolicy nie powstanie ani jedna większa kopalnia czy fabryka tylko istniejące będą się rozbudowywały, to taka spółdzielnia byłaby nowym dowodem na przewidywanie, podjętej przez chłopów.

— Pomyślcie tylko Franciszku, jak trudno było Bolkowi Urzaczowi Chłondowi i Polowskiemu znaleźć przed wojną pracę po ukończeniu szkoły górniczej w Dąbrowie Górniczej. A dzisiaj, mimo, że nie nowego w naszej okolicy z przemysłu nie powstaje a jednak ile już nasłodziło się o szkoły po wojnie ukończyła znalazło pracę. I setki znajdują jeszcze pracę w tych samych kopalniach i fabrykach, bo dzisiejszy ustrój opiera zwiększenie wydajności produkcji nie tylko na powiększeniu ilości maszyn, nie tylko na wzroście zatrudnienia, ale na wysokim poziomie technicznym i zawodowym pracowników. I widzi-

cie, Franciszku, my chłopcy też musimy się stale douczyć, bo nowa technika rolnicza i nowe kierunki produkcji wymagają od nas pogłębienia wiadomości.

— Ja, prawdę Janie mówię — wtrąca stary Żyłka — toć jak mój Bolek objął gospodarstwo na zachodzie to się musiał od nowa uczyć. A to jakieś snopowizgalki, kosiarzki, wirówki i inne narzędzia, których my tutaj nie znamy. A jak się rozejrzył w polu to się musiał uczyć wielu nowych upraw, których my tutaj nie prowadzimy. Ale się nauczył i dzisiaj dobrze mu się powodzi. A przed wojną był bezrobotny. I on i Mietek i córka trzy się działy bez pracy i czekały, aż ja ich z tych 2 hektarów wyżywię. Kopalnie o pół kilometra, a oni pracy nie mieli. Dzisiaj wszyscy pracują i mają się coraz lepiej.

— Wiem ja coś o tym, bo 5 lat byłem bez pracy to i wyczerpywałem się do ostateczności. A gdy człowiek szereg lat pracuje bez przerwy, to stale wzmagą się do brobytu w domu, tak jak wzmagają w gospodarstwie rolnym zasobność, gdy kłeski go nie przesładują. A teraz pomyślcie, jak podnieście się stopa życiowa, gdy produkcja się podniesie i dochody z tego będą obrócone na potrzeby całego społeczeństwa.

Będziemy mieli właśnie zwiększone dochody ze zwiększonej produkcji, wystarczające na nasze potrzeby, a jeszcze zyskamy zwiększony udział w dochodzie społecznym w postaci wczasów, leczenia bezpłatnego, opieki nad matką i dzieckiem, szkolnictwa bezpłatnego od powszechnego do uniwersyteckiego i wiele innych udogodnień, za które przed wojną musieliśmy płacić a nie było z czego.

Dzisiaj tymi narzędziami i koniakami jakie mamy, nie możemy roli tak uprawić, by zwiększyła nam plony. Ale jeżeli wprowadzimy w pole mocne traktory, głębokie plugi, pogłębiacze i inne narzędzia nowoczesne, to wtedy i racjonalnym będzie zasypać ziemię nawozami i oczekiwać tych wymaganych 18 kwintali żyta z hektara.

Pomoże nam w tym doświadczenie ogrodników i rolników Z. S. R. K., którego wzory z dobrym skutkiem uosobione nasze rolnictwo będzie mogło stosować.

Wieś Porąbka z gromadami Ka. zimierz, Ostrowy Górnicze i Maczki w roku bieżącym weszły w skład nowoutworzonej własnej gminy Ka. zimierz.

W związku z tym powstają w myślach działaczy gminnych szero-

kie plany udoskonalenia życia i produkcji na terenie gminy.

Najważniejsze problemy, jakimi była elektryfikacja niektórych na uboczu położonych kolonii, doprowadzenie wodociągów do 3/4 terenu gminy oraz kanalizacji poszczególnych osiedli będą realizowane już w najbliższym czasie. Tego w ramach poprzedniej gminy Olkusko-Siewierskiej, teren nasz jeszcze by nie otrzymał.

Dalej w ramach planu 6-letniego planowana jest zmiana nawierzchni dróg z wapienowych na klinierowe, aby uchronić zdrowie ludności od kurzu wapiennego bardziej szkodliwego od pyłu węglowego w ko-palni.

Osobnym problemem niezmiernie interesującym nasze drobne rolnictwo jest sprawa odwodnienia łąk i uprawa pastwisk.

Ponad 100 hektarów łąk i pastwisk coraz bardziej zabagniała się na skutek obniżania się terenu na starych robotach górniczych. Siły Z. S. Ch. są za małe, aby płynąca przez zatopione łąki rzekę uregulować i teren odwodnić. Ponieważ stanowią one około 15 proc. powierzchni użytkowej, są dla ogólnej gospodarki Porąbki nielada problemem.

Rolnicy mają nadzieję, że Z. S. Ch. w ścisłej współpracy z gminą, partiami politycznymi i Dąbrowskim Zjednoczeniem Przemysłu Węglowego doprowadzą do rozwiązania tego problemu.

Działaczom chłopskim już dzisiaj zjawiają się w marzeniach sumiaste lany trawy po pas, na terenach wspólnie uprawianych i obsianych.

Od tych łąk i pastwisk musi się zacząć gospodarka spółdzielcza.

Oczywiście są jeszcze zafocani jak Czap Antek, Szewczyk i inni.

— Mieliśmy — powiadają — w Porąbce kasę Stefyczka, to ją do Strzemieszyc przewieźli i my tam musieliśmy chodzić, tak i z tą spółdzielnią też mogą coś pokreślić. Nie pomaga tłumaczenie, że przecież takiej nieruchomej spółdzielni produkcyjnej nie można przenieść. Trzeba dobrego przykładu aby ich przekonać. Takim dobrym przykładem będzie odwodnienie łąk. Na jednym zebraniu gromadzkim upoważniono już gminną spółdzielnię do przeprowadzenia uprawy i eksploatacji łąk i wspólnych pastwisk.

To będzie pierwszy krok do uśpienia produkcyjnego naszej wsi.

Jan Jelonek Porąbka.

przemysłu w warsztatach pracę i chleb znajdują. Pocynamy pojmować czym dla mnie i wielu innych jest ten plan i czym jest w zasadzie socjalizm.

Dwuhektarowy Szymczak powiada: — Ja teraz pocynam pojmować różnicę pomiędzy wczoraj i dziś. Balem się socjalizmu, bo mnie nim straszili, a ja go nie znałem. I dziś mnie straszny nim oto ten, tu wskazał ręką na dom byłego wodza wsi i przewodniczącego komitetu

Andrzej Skupień-Florek

Podhale zmieni oblicze

Wybitnie górski teren podtatrzaskiej okolicy, który cechują wysokie grzbiety i spadziste zbocza, ma odmienne warunki i sposoby uprawy ziemi, od ziem nizinnych naszego kraju. Jednakże ludność tej okolicy wie, że plan 6-letni i tutaj przyniesie wielkie zmiany w ulepszeniu gospodarki i tego się spodziewa.

Gospodarze tutejsi, są nie tylko rolnikami ale i hodowcami, pastwiskami, a nawet robotnikami. Odmienność podgórskiej gospodarki rolnej sprawia, że jeszcze nie jest wiadomo jaka forma spółdzielczości u nas zostanie zastosowana, ale wiemy, że będzie z pewnością taka, która da produkcję najbardziej opłacalną dla Podhala, o tym myśli Rząd, myślą i chłopci. Trochę o Podhalu znalazła w 6-letnim planie swój mocny wyraz. Reforma gospodarki na tym terenie będzie polegać z jednej strony na zwiększeniu upraw zielonych, a z drugiej strony na pracach „w wielkim stylu” podjętych w kierunku zwiększenia produktywności ha. Wykonane tu będą rozległe prace melioracyjne na boczach, co przyniesie zwiększenie pogłowia owiec ze 107.500 na 162.500 sztuk, a to niezależnie od znacznego zwiększenia pogłowia bydła pod względem ilości, a przede wszystkim jakości. Zwiększenie pogłowia owiec podniesie produkcję wełny o 60 procent rocznie. Warsztaty przerabiające na miejscu ten surowiec zwiększą ilość zatrudnionych pracowników o 50 procent. Dotychczasowe roboty sezonowe staną się stałym zajęciem, co dotyczy zwłaszcza chałupnictwa zorganizowanego w Podhalańskiej Spółdzielni Przemysłu Artystycznego a więc kaparstwo, kilimkarstwo, samodzielną i wszelkie roboty na drutach. Wraz z podniesieniem pogłowia owiec i bydła podniesie się produkcja nabiału, a więc mleka, masła i sera. Zwiększona produkcja nabiałowa pozwała na większe możliwości spożycia, co znowu wpływa na podniesienie stopy życiowej obywateli. Ponadto na terenie Podhala, które — jak to powiedział Prezydent ob. Bolesław Bierut — jest „plucami Polski” dla pracujących mas, przyjeżdżających tutaj po zdrowie i odpocznik — nastąpi na wielką skalę rozbudowa ośrodków letniskowych w pasie sa-

mego Podtatrzaka ciągnąć się od Witowa poprzez Kościeliska, południową część Zubuskiego, Poronin z Galicową Grapą na czele, na Bukowinę i do Białki Tatrzańskiej. Miejscowości te połączone zostaną wspaniałą drogą turystyczną biegnącą południowymi stokami z widokiem na całe Tatry. W związku z rozbudową letnisk powstaną liczne zieleńce i parki spacerowe, baseny kąpielowe, pływalnie, a także boiska sportowe, a wszystko to wpłynie na podniesienie zdrowotności i higieny miejscowej i przyjezdnej ludności.

Na wieś podhalańską wkrocza szybkimi krokami przemysł. Rozpoczniesz się uprzemysłowienie doliny Dunajca. Zobaczymy niebawem mury wielkich zakładów przemysłowych: roszarni lnu, wielkiej fabryki maszyn chłodniczych w Nowym Sączu. Trzykrotnie zwiększenie powierzchni sadów, pociągnie za sobą rozbudowę zakładów przetwórstwa owocowego oraz rozbudowę licznych chłodziń i przechowalni. Przez uprzemysłowienie wzrośnie rynek pracy, który wehłonie ludność z przeludnionych wsi. To samo spowoduje rozwijający się handel spółdzielczy i różne inne zawody nierolnicze w miejskich ośrodkach stale potrzebujących nowych sił i kadr pracowniczych. Do tego przygotowuje coraz liczniej garncarstwo i młodzież wiejską, wszelkich stopni szkolnictwo polskie, tak że 40 procent nadmiaru ludności w rolnictwie, zostanie skierowane przez plan sześciolatni do innych nierolniczych zawodów. Ponad 30 tysięcy ha bezużytkowych zboczy górskich zostanie zalesionych.

Na skutek odmiennych warunków terenowych i klimatycznych wieś nasza nie jest zdolna do podniesienia plonów zbóż chlebowych gdyż takowe tutaj się nie udają, ale na pozostałych ziemiach naszego województwa krakowskiego produkcja zbóż poważnie wzrośnie. Wprawdzie powierzchnia żyta ulegnie zmniejszeniu do 73 procent stanu 1949 r. ale w to miejsce wprowadzone zostaną uprawy „intensywne” dające więcej kalorii żywnościowych z jednostki powierzchni, większy dochód rolnikowi oraz uprawy bardziej pracochłonne jak warzywa, a także tak dla rozwoju produkcji zwierzęcej potrzebne

rośliny pastewne. Utrzymanie produkcji żyta przewiduje się w wysokości globalnej prawie nie zmienionej w stosunku do roku 1950, a to dzięki zwiększeniu wydajności z ha, z 12,2 na 14,9 q. Plony pszenicy wzrosną z 13 na 15,5 q, jęczmienia z 12,5 na 15 q, a owsa z 12 na 15,7 q, ziemniaków z 114 na 130 q, buraków cukrowych ze 189 na 225 q, siana, co dotyczy specjalnie Podhala z 27,7 na 31,3 q z ha.

Należy podkreślić, że coraz więcej chłopów rozumie, że o te 180 kg. więcej żyta z ha i podwyżkę plonów innych roślin toczyć się będzie wielka bitwa pracy nie tylko na wsi, ale i w naszych fabrykach produkcyjnych coraz więcej i coraz lepsze maszyny rolnicze, walczą o nie będą organizatorzy, kierownicy i pracownicy społecznych Ośrodków Maszynowych. Ku temu zmierzają będzie wzmocniona w dwójnasób produkcja i zużycie nawozów sztucznych i poprawa jakości obornika przez zwiększenie o 50 procent wzorowych gnojowni. Podniesienie plonów w województwie zapewnia nie tylko wyższość ludności wsi podhalańskiej ale także znaczne podniesienie się stopy życiowej.

Na koniec trzeba wymienić te zdobycze kulturalne, które przyniesie plan 6-letni, a warunkiem pełnego rozwoju kultury wsi jest elektryfikacja. W roku 1955 będziemy mieli zelektryfikowanych połowę wszystkich wsi w Polsce, a co za tym idzie racjonalizacja i mechanizacja gospodarstw zespółowych i indywidualnych, pójdzie szybko naprzód, co oszczędzi siły ludzkiej, a przez szybkie wykonanie pracy da więcej wolnego czasu na rozwój kulturalny, kształcenie się, przejście do kina i na odpocznik. W tym czasie 6-letniego planu, także i nasza wieś i cały obwód Szkolny Górny Gliczarowa otrzyma porządny budynek szkolny, którego brak ogromnie daje się we znaki i opóźnia postęp oświaty i wykształcenie analfabetyzmu. Liczymy na pewną elektryfikację tej wsi, która dotąd toniła jeszcze w ciemnościach. Ufam, że plan 6-letni zlikwiduje ciemności i zbliży do światła wszystkich zapadłych wioskach i osiedlach.

Andrzej Skupień — Florek Poronin

IRENA KOZŁOWSKA

TRZY POKOLENIA ROBOTNICZEJ RODZINY

1. DZADKOWIE

Wczesną wiosną, gdzieś w początkach kwietnia 1886 roku przybyła do Łodzi rodzina Tymiaków. Razem 8 osób: ojciec, matka, pięcioro dzieci i starsza już babka. Przywędrowali do „ziemi obiecanej” piechota, ciągnąc za sobą mały ręczny wózek z dobytkiem.

Dziadek Tymiak, pańszczyźniany chłop nie doczekał carskiego uwłaszczenia, umarł na kilka lat przed nadaniem chłopom wolności osobistej. Na małej parceli gospodarzył syn. Wspomnianego roku stało się nieszczęście. Od „kopciółki”, nieostrożnie zrzuconej z belki stajennej na siano, zajęły się liście zabudowania gospodarskie, poszedł następnie z dymem dom mieszkalny. Na nie się zdała pomoc sąsiedzka, tyle, że nie zajęły się sąsiednie chaty. Tymiakowie byli zbyt biedni, aby stawiać się na nowo. Postąpili jak wielu innych chłopów z bliższej i dalszej okolicy. Widzieli się w tamtych latach nie raz całe gromady chłopów, obarczonych tobołkami, wędrujących do portów bałtyckich a stamtąd do dalekiej Ameryki, gdzie pomnożone pieniądze leżały na ulicy. Przewiezła ich ludzie były przez ramię i szli na Prusy, zarobić przy żniwach. Wielu osiedlało się na przedmieściach Łodzi, Warszawy, Żyrardowa czy Pabianic, z nadzieją znalezienia pracy w przemyśle.

Tymiakowie trafili szczęśliwie. Zamieszkali u dalekich krewnych w Łodzi, na południowych krańcach miasta, w pobliżu wsi Dąbrowki (dzisiejsze Chojny). Ludzi mieszkano tu niewielu. Rzadko rozrzucone, licho pobudowane jednorodzinne domki, wyboiste, nieoświetlone ulice. Jesienią i w okresie wiosennych roztopów, ludzie grzeźli po kostki w błocie, rozdali sobie wykładaniem cegieł, po których rzędniesi skalali aż do głównej ulicy. Domek, w którym zamieszkali Tymiakowie, składał się z czterech izb, znacznie wycieńszonych wszelką biedotą. Izby były nawet dość obszerne, jednak tak niskie, że nawet średniego wzrostu człowiek bez trudu dotykał ręką palupa. Okienka małe, pojedyncze i tak nisko położone, że wydawały się równe z ziemią.

Starsze dzieci Tymiaków zaraz po przybyciu do Łodzi rozpoczęły pracę u Gayera. Pół dnia od 6-jej do 14-jej za 1 rubla 20 kopiejek tygodniowo. Do pracy poszedł 15-letni Jan, 13-letni Antek i 10-letni Olek. Ostatniemu trzeba było podrobić metrykę. U specjalisty przyfabrycznego kosztowało to rubla. Ojciec jako niewykwalifikowany robotnik zarabiał 3 ruble tygodniowo za 12-godzinny dzień pracy.

Życie Tymiaków było bezbarwne. Ciężka, monotonna praca w fabryce, bez żadnych rozrywek kulturalnych, bez możliwości odpoczynku.

Dzieci starsze zapomniały pisać, z czytaniem było coraz gorzej. Po dwóch miesiącach pracowali już na dwie zmiany, a więc 12 godzin dziennie, nie brali zatem książki do ręki, nie czytali nawet „Gazety Świątecznej”, którą przenieśli do sąsiedzi. Do szkoły rzadziej chodził jedynie Paweł. Po dwóch latach czytał i pisał biegle w trzech językach — polskim, rosyjskim i niemieckim, znał dobrze rachunki. Ale na tym się też skończyło. W roku 1891 umarła babka, niedługo po niej matka rodziny. Najstarszy Janek ożenił się i wyszedł z domu pomimo protestów ojca. 13-letnia Wanda przejęła wszystkie obowiązki rodzinne. Pawłowi podrobiono metrykę i poszedł do Gayera na pół dnia do pracy. Ojciec nie był wprawdzie skąpym, nie pił wódki, ale uważał, że dzieci są po to, aby przynosiły korzyść, aby zarabiała bez względu na wiek. Od czasu opuszczenia rodzinnej wsi bardzo się zmienił. Dawniej dbał więcej o dzieci, utrzymywał rodzinę w patriarchalnym systemie, sam przeważnie zabiegał o wyżywienie. Teraz, potwierdzając słynną tezę Marksa: „robotnik sprzedawał przed tym swą własną siłę roboczą, którą rozprowadzał, jako człowiek formalnie wolny. Teraz sprzedaje formalnie i dziecko. Staje się handlarzem niewolników”. („Kapitał”).

Paweł dość ciężko przeżył rozłąkę ze szkołą. Ale od nauki nie odstąpił. Zorganizował u siebie kilku nastosobowo komplety, składające się z robotniczych dzieci w wieku 10 — 15 lat i przez trzy lata uczył je czytać i pisać po polsku. W tym czasie ojciec dowiedział się o popołudniowej zmianie w jednej z fabryk. Odtąd Paweł pracował na dwie zmiany. Od 6-jej do 13-jej w jednej fabryce i od 14 do 21-jej w drugiej. O nauczaniu nie mogło być mowy.

Wyższą wewnątrz rodziny spowodował daleko idące skutki. Starszy od Pawła Antoni coraz częściej popadał w omdlenia przy pracy. Coraz częściej dostawał krwotoków nosowych. Aż wreszcie, terminując u tzw. „starych Francuzów” na stolarza stracił dwa palce u prawej ręki. Otrzymał odszkodowanie w wysokości 400 rubli i po gwałtownej sprzeczce z ojcem wyjechał do Warszawy, gdzie otworzył własny warsztat stolarski.

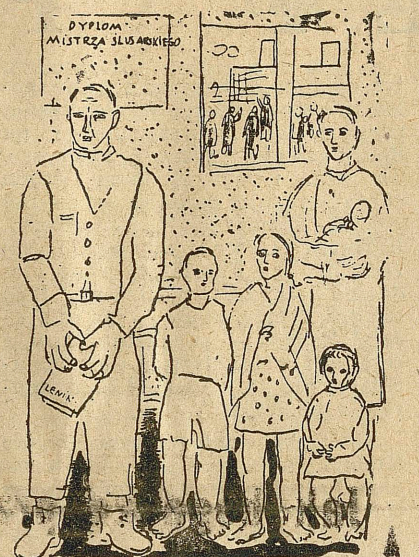
Niedługo potem Paweł zapada na ciężką anemię. System fabryczny odbiera mu powoli resztki siły. Wyjeżdża do brata do Warszawy. 8 miesięcy odpoczynku przywraca

mu siły. Terminuje teraz w fabryce Włodarczyka, chce otrzymać dyplom ślusarza. Pracuje 10 godzin dziennie, nocami pomaga bratu w warsztacie przy wykonywaniu zamówień. Warsztat brata był typowym „dodatkiem do fabryki”, pracującym na zlecenie właściciela wielkiej fabryki wyrobów metalowych. W tych warunkach prawdziwym wyzwoleniem od fabryki stała się dla Pawła służba wojskowa. Po blisko czterech latach wraca do Warszawy. Jest już dyplomowanym ślusarzem w fabryce „Ursus”. Nawiązuje kontakty ze swymi dawnymi kolegami, wspólnie spędzają wieczory na studiowaniu broszur i ulotek socjalistycznych.

Nadchodził pamiętny rok 1905. Paweł brał udział we wszystkich manifestacjach i strajkach robotniczych na znak solidarności z petersburskimi współtowarzyszami. Z tego okresu wyniósł wiele doświadczeń politycznych. Przemysłał je dokładnie leżąc pół roku w szpitalu przez zandarmów nogą. W tym okresie był często bez pracy. Chwytał się rozmaitych dorywczych zajęć, nigdzie nie chciał go przyjąć na stałe, był bowiem w oczach kapitalistów niebezpiecznym wywoławcą.

Stosunki z ojcem rozluźniły się zupełnie. Ojciec nie mógł mu wybaczyć odejścia, chodziło także o udział Pawła w strajkach i manifestacjach robotniczych, które psuły dobre imię pracowitych i lojalnych Tymiaków.

Nawiązanie kontaktu z dawnym kolegą Jackiem Śliwickim stanowi przełomowy moment w życiu Pawła. Jacek należał do partii. W jego mieszkaniu odbywały się nieustan-



nie narady dzielnicowego koła lewicy PPS. Paweł poznaje w tym okresie bliżej ruch robotniczy, czyta coraz więcej mimo choroby oczu — „egipskiej ślepoty”. W tym też czasie żeni się z siostrą Jacka. Zoną Pawła pracowała jako modniarka na „skupowcach”. Jej pracę wdrożył przy pomocy pośrednika do słynnego w Warszawie — Hersego.

Na arenie dziejów kapitalizmu rosyjskiego następuje dalsze przemiany. Następuje wzrost przemysłu rosyjskiego. Kapitały z Zachodu, zwłaszcza francuskie, płynęły nieprzerwanie do Rosji w nadziei wielkiego i szybkiego zysku. Działy tu także i polityczne czynniki. Związanie trójpriemierza Anglii, Francji i Rosji przeciwko imperiaлизmowi niemieckiemu, zwracającemu się ku Wschodowi, postawiło przed Rosją zadanie szybkiego uprzemysłowienia. Stąd też napływ zachodnich kapitałów. „Rozkwit gospodarstwa rosyjskiego — pisał Kula — był tak żywy, że zaczął nabierać siły atrakcyjnej w stosunku do polskich elementów fachowych, tak bardzo Rosji po trzebnych, więc sowiecie wynagradzanych”.

Czasopisma warszawskie zamieszczały liczne ogłoszenia i oferty na dobre płatne prace w Rosji. Po przeczytaniu jednego z tych ogłoszeń nabrał Paweł ochoty na wyjazd. Pałła mu się w kraju ziemia pod nogami, był zmęczony ciężką walką o należyty zarobek, chciał wyjechać go ponadto dalekie kraje. Odebrał więc w 1909 roku daleką podróż do Turkestanu. W rok później ścignął tam całą rodzinę — żonę i dwoje dzieci. Zamieszkali w Kokandzie. Paweł pracował w jednej z fabryk bawelnianego przemysłu. Zarabiał dużo — około 50 rubli miesięcznie.

Rodzina Tymiaków powodziło się dobrze. Paweł uchodził w oczach Sartaów za prawdziwego dobroczyńcę. Reperował im bezinteresownie klamki, klódki, instalował oświetlenie, opracował cały system nawadniania pól. Z kolonii polską, licząc 120 osób stosunków nie utrzymywał. Razita go atmosfera „wyższości” wobec biednych Sartaów, którą rozciągała polska „arystokracja” robotnicza, majstro- „zbratani z buchalterami”. Tymiakowie współżyli głównie z ludnością tubylczą, ale nie tracili poczucia przynależności narodowej. Prenumerowali gazetę krajową, czytali je nieraz po kilka razy.

Dzieci nie chowały się dobrze. Troje z nich pochowano w dalekim Turkestanie. Pozostała dwójka — Wiśka i Michał urodzeni już w Kokandzie — rośli pomyślnie.

Pierwsza wojna światowa nie odbiła się na życiu Tymiaków. Pa-

zamieszczały poniżej dokumentarny obraz dziejów trzech pokoleń robotniczej rodziny. Czuujemy się więc w obowiązku podkreślić wagę tego rodzaju dokumentu i materiału. Znamy w literaturze burżuazyjnej sagi rodowe wielkich kapitalistów. Znamy historie rodzin średnio i drobniomieszczańskich, upadających w dobie imperializmu. W literaturze burżuazyjnej wpisane zostały dzieje mieszczańskich rodzin: etapy nadziei, rozkwitu, prosperity i etapy rozczarowań, upadków, deklacji. Dzieje te z reguły rozwijane były w klasowej izolacji od dziejów proletariatu i chłopstwa. Historię — tak by się mogło wydawać z tych powieści — miał tylko bourgeois — grand i petit.

W polskich warunkach proletariatu ma już za sobą szmat historii, wiele pracy industrialnej i walki klasowej. Ma za sobą dzieje wojenne, zwycięską rewolucję. Pora byłaby sięgnąć w taki sposób o przeszłość, aby zarta została z niej tradycja bezimienności. Aby z pod trudu i walki milionowych mas wyrzucił imienni ludzie, wy-

ginał na 10 godzin za żelazną bramą fabryki.

Lata 1923 — 26 należały do bardzo ciężkich. Ceny artykułów żywnościowych szły bez przerwy w górę. Dzieci Tymiaków piły początkowo herbatę z sacharynu, później jakąś mieszaninę ziołową w miejsce herbaty. Mleko dostawał tylko najmłodszy Sławek, pół litra co dwa dni. 75 proc. budżetu Tymiaków szło na wyżywienie, resztę pochłaniało komorne. Wiśka nie miała zimowego palta, chodziła do szkoły owijana w chustę. Zima, gdy zasy trudem swobodną komunikację, kontakty Tymiaków z ludźmi ustawały zupełnie. Dzieci chodziły tylko do szkoły. Paweł opuszczał dom już o 4-tej rano. Wracał wieczorem, był często na zebraniach robotniczych. Wieczorami czytywała matka głośno gazety, albo przyniesioną przez Pawła książkę.

Do dawnego mieszkania Tymiaków, graniczącego z ustępem wprowadziła się w 1926 roku rodzina, składająca się z sześciu osób: matka, cztery córki i syn. Tylko najstarszy córce udało się znaleźć pracę. Pozostałe zajmowały się nierządkiem, matka chodziła „po prośbie” a chłopak kradł, poki za zabójstwo nie dostał się do więzienia. W tym samym czasie mieszkankie na gorze zajęła rodzina biednego szewca spod Sieradza. W sumie cztery osoby, rodzice i dwoje dzieci. Mebli żadnych nie mieli, sypiali na siennikach, żywnością wreszcie Paweł upragnioną pracę. Został ślusarzem w fabryce maszyn w Rudzie Pabianickiej. Rodzina przeniosła się do Rudy, gdzie znalazła mieszkanie oddalone o 5 km od najbliższego przystanku tramwajowego. Izba ciemna, wilgotna, oddzielona cienką ścianką od dołu kloaczem.

Dom, w którym mieszkali Tymiakowie, postawił pewien przesytny murarz, żyjący z czynszu. Zakupił plac, postawił sobie dość wygodny dom, w tyle pobudował oficynę dla robotniczych lokatorów. Strychu tam nie było, elektryczność miał także tylko „pan właściciel”. Lokatorowie zmieniali się często, zwłaszcza w okresie kryzysów, kiedy to robotnicza bieda nie mogła opłacić umownego czynszu. W izbie na parterze, gdzie mieszkali Tymiakowie podłogi nie było. Po sąsiedztwie mieszkali chałupnicy, którzy ukali z odpadków wielki rozmaite tkaniny na ręcznych warsztatach. Co jakiś czas pojawiał się skupowacz. Ale nie od razu przychodził do chałupników. Wstępował najpierw do pana gospodarza dowiedzieć się, jaki jest ich stan materialny. Jeżeli był znośny — nie zawierał transakcji, jeżeli zły — wymuszał bez trudu korzystną cenę.

Paweł nie zarabiał źle, a jednak warunki mieszkaniowe zabijały powoli dzieci. Czteroletnia Ninka zachorowała i mimo rozpaczliwych prób utrzymania jej przy życiu zmarła po pół roku choroby. Paweł próbował dojść do porozumienia z gospodarzem, ale cena była zbyt wygórowana. Wyremontował więc pokój po chałupnikach, którzy powędrowali gdzieś w świat szukać chleba, wyrównał klepisko, pozatykał dziury w ścianach. Mieszkanie było znacznie większe i słoneczne. Z czasem przybyło jeszcze jedno łóżko i mały kredensik.

Fabryka w Rudzie miała być nibawem zlikwidowana. Paweł rozpoczął gorączkowe poszukiwania nowej pracy. Ale robotników wszędzie było pod dostatkiem. Warunkiem przyjęcia był dyplom walmieślnicy. Papiery, doskonale referencje z Turkestanu odnosiły takie skutki, że patrzone na Pawła podejrzliwie. W roku 1924 wykonał Tymiak pracę dyplomową. Była to podziwiana przez komisję sprężyna do smarowania łożysk. Paweł otrzymał papiery cehowe — dyplom mistrza ślusarskiego i rozpoczął pracę w Łodzi u Późnackiego na Ogrodowej ulicy. Każdego dnia nad ranem wychodził odtąd z Rudy piechotą, przemierzał ulicę Piotrkowską, skręcał ku fabryce za placem Wolności i

szły pokolenia rodzin robotniczych, w których piono pisarza odnajdzie drogę rewolucyjną proletariatu w każdym osobistym losie robotnika i jego rodziny. Zrobił to już w swoim „Starym i Nowym” Lucjan Rudnicki. Mam obowiązkiem wypisać wielki rozdział historii narodowej, historii mas ludowych przez wydobycie z celowej do niedawna niepamięci historii rodzin robotniczych.

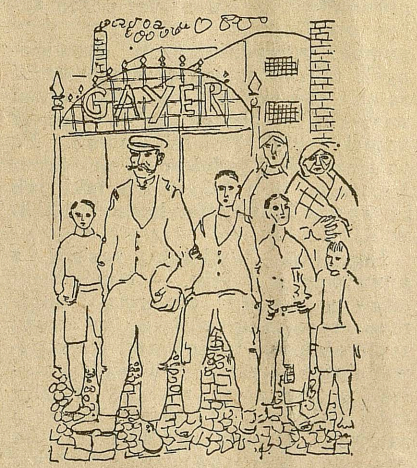
W tym dziele udział winna wziąć nauka i literatura. Już same dokumentarne biografie staną się pomnikiem godności ludzkiej człowieka z mas robotniczych. Godności rozwijanej i rozbudowanej w dziejach walki pokoleń „ludu robotniczego”. Pisarze wydobędą z tych dokumentów piękno człowieczeństwa, które w epoce przedrewolucyjnej zwiastowało nową siłę pragnień i poświęceń dla szczęśliwego życia ludzkości. Pisarze ukąją rodowód naszej współczesności, robotników rosnących przez pokolenia do bezspornej prawa dyktatury proletariatu, do bezspornej roli gospodarzy kraju.

REDAKCJA

suchy chleb, ciężkie lata kryzysu zrobiły swoje. Paweł wychodził teraz ze skóry. Pracuje kilkanaście godzin na dobę. Po pracy w fabryce, instaluje elektryczność po domach, reperuje korki, chwytą się każdej okazji zarobku. Tymiakowa dostaje szczęśliwie pracę jako ekspedientka w sklepie kolonialnym. Rodzice walczą teraz o życie jedynej córki. Ten niewątpliwie szalony zryw rodziców powiodł się. W cichej uliczce odchodzącej w bok od szosy pabianickiej, znacznie bliżej Łodzi udaje się Tymiakom znaleźć po 10-ciu latach pracy w wolnej Polsce suche i słoneczne mieszkanie. Córka przestaje kesać, stała gorączka przemienia. Paweł wszedł bardzo szybko w nowe, czyste robotnicze środowisko. Reperował wokół instalacje elektryczne, studnie, zamki u drzwi. Zechodził się u Tymiaków koledy robotniczy, dyskutowali na rozmaite tematy. Jeden z nich przewijał się najczęściej: wojna domowa w Hiszpanii i wzrost potęgi faszystów. Paweł czytał teraz znacznie więcej, staranniej przemysliwał poznana literaturę. Nie zdobył wykształcenia, nie miał na to warunków. Postanowił jednak wespół z żoną, że wykształca należącej do niego. Najmłodszy Michał, grał pięknie na skrzypcach, malował akwarelę i pragnał, podobnie jak siostra pracować nad młodymi pokoleniami robotniczymi. Chciał także być nauczycielem. Przecenił jednak Tymiakowie swoje siły. Michał musiał przerwać naukę w siódmej klasie, nie chodziła do szkoły Wiśka. Brakowało pieniędzy na opłacenie taksy administracyjnej. Oboje usiłowali znaleźć pracę. Składali dziesiątki podań w różnych urzędach. Tylko Wiśce udało się pracować przez kilka miesięcy w sklepie galanterijnym. Wolne chwile poświęcała nauce, pragnęła dobić do matury. W roku 1937-38 zdała pomyślnie do ostatniej klasy gimnazjum, chodziła jednak do szkoły zaledwie kilka tygodni. Powróciła choroba, rozwinęła się w gruźlicę kregostupa i tylko natychmiastowa operacja mogła ją uratować. Zapożyczili się Tymiakowie u ludzi. Operacja udała się. Córka uratowana.

3. DZIECI

Lata między rokiem 1930 — 1939 nie były dla Tymiaków pomyślne. Tyle może, że zmienił mieszkanie na lepsze. Nad rodziną wisiła z roku na rok groźba śmierci. Wiśka uszła ledwo z życiem przed gruźlicą, Tymiakowa zapadła na długotrwałe zapalenie stawów, Paweł spadł z drabiny w fabryce, potłukł się dotkliwie i zламаł rękę, leżał przez dłuższy czas w szpitalu. Jeden Michał trzymał się dobrze. Nie znalazł wprawdzie pracy przez kilka lat, sprzedawał jednak od czasu do czasu obrazki, uczył się z miłą o złozeniu egzaminu maturalnego. W 1939 roku wybuchła wojna, która pokrzyżowała plany i nadzieje Tymiaków. Paweł przesiedlono do gorszego mieszkania na Chojnach. Wiśkę wysłano na wieś, do Piotrkowa, gdzie prowadziła tajne nauczanie. W listopadzie ruszyli



Paweł i Michał do pracy. Ojciec pracował nadal jako ślusarz, syn trudnił się murarką. W połowie 1940 roku wraca zadenuncjowana Wiśka, rozpoczyna tajne nauczanie dzieci robotniczych na Chojnach. Kompletów było kilka, nauka trwała niemal cały dzień. W roku następnym przesiedlono Tymiaków jeszcze raz. Znowu znaleźli się w podobnych warunkach jak przed przeszło 15-tu laty, kiedy to z dalekiego Turkestanu przybyli do ojczyzny. Pokoik mały, bez mebli (Tymiakom zabrano meble), podłoga kamienna. Uczniowie Wiśki znoszą z domów krzesła, stare łóżka, niedługo i w ten sposób rodzina zaopatrzyla się w najniezbędniejsze rzeczy. Michałowi groziło wywiezienie na roboty do Niemiec. Został pod warunkiem, że będzie pracował na Widzewie. Wideska fabrykę nazywano w tych latach „wykańczalnią”. Rzadko kto mógł przetrzymać ciężką pracę. W oddziałach, gdzie wyrabiano t.zw. „niskoże” ludzie po dwóch latach ślepli. Michał pracował w laboratorium chemicznym. W 1943 roku zatrudnił się ciężko, przy analizie barwników i bezwonnym gazów. Okazało się przy tym, że ma oba płuca zajęte. W 1945 roku zmarł ostatni syn Tymiaków. W czasie jego choroby Paweł pracował również na Widzewie. Chciał zarobić możliwie najwięcej, aby uratować

syna. Przekonał się jednak po raz szósty w życiu, że kapitalizm prowadzi zawsze do wyniszczenia żywych sił ludu.

Córka wypożyczyła za 10 marek tygodniowo maszynę do szycia, aby dorobić na leczenie brata. Za tajne nauczanie nie pobierała żadnej opłaty. Szyla suknie, koszule męskie, ubrania a nawet płaszcze zimowe. Paweł starym zwyczajem lutował ludzom miski, reperował zamki u drzwi, instalował przewody elektryczne, za co otrzymywał od czasu do czasu kilka marek. Robotnicy z Chojn otaczali go szacunkiem, chłonili nieraz niemielowaną Wiśkę przed łapankami.

W mieszkaniu Tymiaków zawsze było gwarno. Schodziły się tu grupki młodych ludzi. Dyskutowano nad przyszłym ustrojem Polski. Wiedzano, że wolność nadchodzi ze Wschodu. Odbywały się wspólne czytania lewicowej prasy podziemnej.

Wiśce o wyzwoleniu Łodzi przyniósł pierwszy Paweł, który witał wraz z innymi robotnikami wkraczające wojska radzieckie. Stał prawie cały dzień przy ul. Dąbrowskiej, powrócił rozradowany, ochrypliwy od krzyku.

Tymiakowie przeprowadzili się do wygodniejszego mieszkania. Wiśka wstępuje do rocznej Szkoły Świecicowej TUR-u, chce pracować na polu kulturalno — oświatowym, właśnie w świetlicach dzieci robotniczych. Spotyka tu grupę postępowych profesorów Uniwersytetu Łódzkiego, którzy namawiają ją do dalszej nauki. Wtedy przełamał się ostatecznie Paweł, przynębił strata ostatniego syna. Stary Tymiak zgłosił się mimo podeszeje wieku do jednej z fabryk jako ślusarz. Zakłady były zupełnie zdevastowane. W warsztatach znalazł Paweł jeden pilnik, jeden noż i to wszystko. Wraz z innymi kolegami urządził powoli warsztatownie. Do domu wracał późnym wieczorem, chociaż zgodnie z umową miał pracować tylko 8 godzin. Obchodził wszystkie sklepy, przeglądał uważnie kramiki z żelazem na rynkach, szukał wszędzie odpowiednich narzędzi, spawał poszczególne elementy w całość, toczył nowe narzędzia. Przychodził do pracy pierwszy, wychodził ostatni. Kierownictwo fabryki powierzyło mu funkcję narzędziownika. Odtąd wydawał Paweł i odbierał potrzebne przy pracy narzędzia, reperował zepsute, sprowadzał nowe. Stary Tymiak „odmłodził”. Obstałował specjalne półki i szafy na narzędzia, podorabiał klucze do wszystkich niemal drzwi w fabryce, ponumerował narzędzia. W oknach warsztatu zakwitły przedostatniej wiosny kwiaty: astry, gwoździki, bratki, groszki...

Jeszcze w 1946 roku oświadczył Tymiak córce, że powinna zapisać się na Uniwersytet. I oto ostatnie dziecko Tymiaków rozpoczyna studia. Na jeden rok zapada ponownie na zdrowiu. Mszcza się dnie spędzane przy maszynie do szycia. Trochę opieką lekarską przewycięła ostatecznie chorobę. Wiśka poświęciła w ostatnim roku akademickim 30 godzin tygodniowo Uniwersytetowi. Odrobiła wszystkie ćwiczenia, zdała 6 egzaminów magisterskich. Jest aktywnym członkiem ZAMP-u. Niemal co tydzień słuchają robotnicy łódzcy odczyty ostatniej córki Tymiaków. Kilkudziesięciu analfabetów robotniczych zawdzięcza jej umiejętność czytania i pisania. Życie Tymiaków wraca do normy. Paweł został przewodnikiem pracy. On jeden z całej załogi warsztatów, 70-cio letni człowiek, wyrabia ponad 140 proc. normy. Mimo, iż pełni odpowiedzialną i absorbującą funkcję narzędziownika, dyrektora powierza mu często nadprogramowe roboty, które chętnie podejmuje. I tak w dniach Stalinowskich zwrócono się do Pawła, aby odczytał mniej pilną robotę i zabrał się do wykonania pewnej niezbędnej dla produkcji formy. Koledy już od trzech tygodni męczył się nad ich sporządzeniem. Stary Tymiak niewiele godzin w ciągu dnia mógł poświęcić tej pracy. Został na kilka godzin po pracy, wzmagał jej tempo, wyzwał resztę ślusarzy do współzawodnictwa. Po tygodniu forma była gotowa. Nie długo potem poproszono Pawła o następną, jeszcze bardziej skomplikowaną formę. Wykonał ją tak szybko, iż powszechnie sądzono, że jest to forma sprowadzona z zagranicy. Nie chcieli wierzyć, by nasz robotnik mógł również w tak precyzyjny sposób pracować. Któregoś dnia, niedawno temu przyszedł do domu wzruszony Tymiak i oświadczył, że wybrano go do Rady Zakładowej.

Mieszkanie Tymiaków tonie w kwiatach. Zoną, przeszło 60-letnia kobieta zajmuje się gospodarstwem. Czyta regularnie prasę codzienną, tygodniki i niektóre miesieczniki. Czerwonym okłóciem zakreśla Pawłowi ważniejsze artykuły. Gdy wraca zmęczony czyta mu je sama. Cicho i spokojnie jest teraz u Tymiaków. Po południu wraca po pracy z analfabetami Wiśka. Wieczorami przygotowuje ostatnie egzaminy. Jesienią ruszy do dalszej pracy z dyplomem uniwersyteckim.

IRENA KOZŁOWSKA

W pokoju, zasnutym siłą mgiełką dymu od papierosów, siedział przy stole sześciu mężczyzn. Wszyscy, już trochę podpieni, w dobrych humorach, rozprawiali głośno, śmiejąc się i starając się przekrzyknąć jeden drugiego.

Z wejściem Bronki i Walnego gwar przycichł.

Łukasz Samoliński, otyły średniego wzrostu, w kurcie wojskowej koloru khaki z guzikami z ciemnobrązowej skóry, wstał od stołu. Różowa, świeża cera jego tustej pełnej twarzy harmonizowała ze srebrną siwą włosów, sterzających wysokim czubem nad niskim, wypukłym czołem.

— Cieszę się, że pamiętałeś o moich imieninach — rzekł obejmując siostrzeńca krótkimi, grubymi rękami. — Ale skąd się tu, u Boga — Ojca, wzięłeś?... Broniu zwrócił się do córki — a nie zapomnij o obiedzie dla Stefana.

Ująwszy go pod rękę prezentował swym gościom wymieniacząc przede wszystkim ich *rodziców* i tytuły: — Naczelnik oddziału tymczasowego Zarządu Państwowego w Gdańsku.

Naczelnik miał mefistofeliczną twarz, haczykowaty nos, wypomadowane włosy czarne jak skrzydło kruka i żółto zabarwione białka oczu.

— Przewodniczący naszej Rady Gminnej w Babimoście.

Wójt, monstrualny grubas, sapiał i wycierał raz no raz chustką spoczną czerwoną linsę.

— Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej.

Prezes dwuchwał w sumiaste wasy i gróźnie stroszył krzaczaste brwi.

O czwartym gościu o ponurym wyglądzie z opuszczoną powieką lewego oka Samoliński powiedział krótko:

— Mój sąsiad, Pancylusz.

Zas piętego piękniśa z ufrzyzowanymi włosami, przedstawił jako sekretarza Gminy.

Fo tej prezentacji Walny zorientował się, że i tutaj, podobnie jak w Gnojnie, wuj ma najważniejsze szyszyki z Gminy „w kieszeni”.

Wychylił kieliszki. Naczelnik jak po wypiciu mikstury wykrzywił ciekro twarz i przekąsił kawałkiem placu domowego wypieku.

— Wartoby trochę zażyć świeżego powietrza — zaproponował spocyni wójt — i wyjść na spacer, obejrzeć te samochody.

— A ja jeszcze przedtem — wrzasnął podochocyni Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej — wznoszę toast za zdrowie Mikołajczyka!

— Na Boga Ojca, panowie — przerwał Samoliński — proszę was, tylko bez polityki! Niech każdy pracą i staraniem przylży swoją cegiełkę do odbudowy ojczyzny, byle bez polityki. Zgoda buduje, nienawiść rujnuje. Czy nie mam racji, panie naczelniku?

— Wszyscy tu myślimy jednako — mruknął ponury Pancylusz.

— No to chodźmy, panowie, na spacer! — zapropocynował ochoczo sekretarz Gminy.

Goście wstali od stołu z głośnym szurgetem odsuwanych krzeseł.

— Skończyłyś obiad? — zatorczył się Samoliński o siostrzeńca.

Wychodzili za gościami, którzy już byli w podwórzu, ale na progu gospodarz przypomniał sobie jeszcze o czymś i wrócił do kuchni. — Broniu, pamiętam, że było tu gdzieś po Niemcu kawałek kredy.

Bronka zaczęła szperać w szufladzie, wyciągnęła z białego, kuchennego kredensu.

Gdy Samoliński wyszedł wrzucił na podwórze, goście jego oddalił się już od domu spory kawałek drogi.

Ująwszy siostrzeńca pod ramię i podając ją gośćmi wuj zaczął wtajemniczać go w swoje sprawy.

— Z tymi samochodami widział, to jest tak... W czasie wojny bolszewicy rozbił tu, w naszych stronach kolumnę samochodową z dywizji pancerniej Goeringa... Leża tu różne gruchoty, ale są też maszyny, które wystarczy tylko jak to się mówi, „podpunderować”, che, che, che! A najważniejsze proszę ciebie, to to, że jest wśród tego smelcu autobus osobowy, pierwsza klasa, który Niemcy zarekwirowali pewnie w Gdańsku dla celów wojskowych.

Samoliński zniżył głos: — Zarząd Tymczasowy pójdz nam na rękę i sprzeda te maszyny za marne grosze. Będzie niezły zarobek, szczególnie na tym autobusie, który miasto odkupi od nas za każdą cenę, bo mu potrzebny tabor. Cieszę się, że przyjechałeś. Pomóż mi załatwić tę sprawę w Gdańsku, bo ja nie mogę się stać ruszyć, muszę pilnować gospodarstwa.

Walny zmarszczył czoło. — Nie znam się na samochodach.

— To się poznasz. To żadna filozofia.

Idący przed nimi zatrzymali się na polu, w miejscu, gdzie stało kilkanaście wojskowych ciężarówek i szaroniebieskie samochody wojskowe bez opon. Miejsce to otoczone było drutem kolczastym, rozciągniętym na palikach.

Wszystko to moja praca — pochwałił się Samoliński głośno, tak, żeby go słyszeł jego goście, do których zbliżał się z siostrzeńcem.

— Kazałem to wszystko ogrodzić — mówił wstając przy naczelniku. — Ludzie ze wsi wiedzą, że te samochody na polu Samolińskiego są pod opieką Samolińskiego. A dla pewności kazałem pojeździć onony i złożyć u mnie w szopie. Wszystko spisane, nie brakuje ani jednej. Można powiedzieć, że Samoliński zabezpieczył majątek rządu. Należy mu się za to nagroda, che, che, che!

Goście odpowiadali wesołym potakiwaniem.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Z I E M I A W Y

Tylko naczelnik Tymczasowego Zarządu Państwowego milczał enigmatycznie. Był lub udawał, że jest zamysłony, i w zamyszeniu rozglądał się po zalanej okolicy. Woda podpyływała tutaj blisko, prawie pod piasty kół samochodów.

W odległości mniej więcej jednego kilometra widać było otoczoną morzem rozlewką wyspę z budynkiem pompy parowej, do której



proceedził wynurzający się z wody grzbiet wahu ochronnego, ciągnącego się od pompy aż pod zabudowania gospodarcze Samolińskiego.

— Każdem z nas już sobie tu coś upatrzył — ciągnął jowialnie Samoliński, niezrażony milczeniem naczelnika.

Ja sobie ustrzeżem tego dzika — mówił z humorem pokazując na wielki, czerwono-biały autobus. — I żeby mi nikt nie zabrał, to go sobie naznaczę.

Schylłszy się przełaził pod drutem do autobusu wyjął z kieszeni ułomek kredy i wypisał na czerwonej ścianie wozu wielkimi literami: Samoliński.

Sekretarz Gminy, Wójt i Prezes Związku Samopomocy Chłopskiej spojrzeli po sobie, po czym wszyscy trzej wybuchli hałaśliwym śmiechem i wszyscy trzej naraz wyciągnili do Samolińskiego ręce po kredę.

— Moment przełomowy w naszych pracach — informował nowozangażowanego fachowca w dziedzinie budowy dróg lądowych i wodnych, inżyniera Walickiego, naczelnik Wydziału Wodno-Melioracyjnego — osiągnęliśmy już w tym roku.

Na biurku stał kalendarz na rok 1946 z odsłoniętą kartką pierwszego tygodnia kwietnia.

Na ścianie za biurkiem wisiały dwie karty geograficzne, jedna — będąca odrysem historycznej mapy Żuław z 1300 roku i druga — nowoczesna mapa delty Wisły i Nogatu, dzielących Żuławy na 3 części: Gdańskie na lewym brzegu Wisły, Wielkie — w ramionach Wisły i Nogatu, i Elbląskie — na prawym brzegu Nogatu.

Naczelnik Wydziału wstał od biurka i położył rękę na odrysie historycznej mapy z 1300 roku. — Jak panu inżynierowi zapewne wiadomo, sprowadzeni w 1288 roku kolonisci niemieccy nie potrafili obronić nizin Gdańskich przed zalewami. Dopiero Holendrzy przy pomocy odwadniających drewnianych wtraków częściowo osuszyli zalane tereny. Z biegiem czasu wiatraki zostały zastąpione przez zespoły nowoczesnych pomp.

Po zniszczeniach, dokonanych przez Niemców, stan Żuław był taki, jak za czasów kolonistów holenderskich w XII wieku.

Naczelnik Wydziału zasiadł z powrotem w fotelu. — Musielimy sobie powiedzieć otwarcie i spojrzeć niebezpieczeństwem w oczy: zryte okopami i bunkrami wały powodziowe straciły swą wytrzymałość, a istniejące rozkopły goziły całej dolinie i Gdańskowi dalszym zalewem. Groźba powodzi zmusiła nas do przeprowadzenia napraw wałów wolderowych i uruchomienia pewnej ilości pomp przed wiosną 1946 roku. I to pierwsze zadanie zostało wykonane.

Nowozangażowany inżynier ujął w garść kłn siwej brody.

— Powinnowa! — mruknął.

— Nie lada sztuka — odważył taką robotę w ciągu jednego roku.

Trzeci uczestnik konferencji, technik Antekki uśmiechnął się nieznacznie. Mrużąc oczy patrzył, zamysłony, gdzieś daleko w ulice.

Za szybą, w świetle zachodzącego słońca czerwienili się gołe mury burzownych kamienic z czarnymi otworami wypalonych okien.

— Obecnie — informował naczelnik — stoimy przed drugim, szturmowym zadaniem. Plan rządowy przewiduje odwodnienie i osuszenie Żuław w ciągu trzech lat, do stycznia 1949 roku. Jest również życzeniem Partii, aby zadanie zostało wykonane w terminie.

W ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, dał się słyszeć trzask zamkniętej energicznie przez Walickiego papierosnicy. — To nad czym kilka pokoleń pracowało w ciągu sześciu stuleci, chcecie zrobić w ciągu trzech lat?

— Rozporządzamy środkami — relikwował naczelnik Wydziału — jakimś nie rozporządzali nasi poprzednicy.

— Ale stoimy wobec błędnego koła — upierał się inżynier — jakiego oni nie mieli do rozwiązania:

Nie możemy uruchomić pomp bez doprowadzenia prądu i odwodnienia terenu. A jak instalować linię i doprowadzić prąd, skoro przewody są zerwane? Czy będziemy stawiali maszyny do linii wysokiego napięcia w wodzie?

— Właśnie tak je stawiamy — odparł Antekki. — W wodzie, panie inżynierze!

Walicki uśmiechnął się pobłażliwie. — Drogi kolego, bardzo to piękne, co mówicie, ale trzeba liczyć się z rzeczywistością. Oprócz tego zagadnienia są jeszcze poważne trudności innej natury: brak wam ludzi, brak materiału technicznego.

Potarższy bezskutecznie raz i drugi zapalkę o brzeg pudełka, rzucił zapalkę do popielniczki. — Schumacher, znany socjaldemokrata niemiecki, powiedział niedawno, że my, Polacy, nie odwodnimy Żuław wcześniej niż za 50 lat. Grubo przesadził, ale powiedzmy sobie, że 10 lat musi to potrwać!

Antekki zmrużył oczy, jakby kryjąc blysk gniewu. — Nasi ludzie w terenie — rzucił zapalczywie — znają to powiedzenie i śmieją się z Schumachera. Utało się nawet, że do różnych markierantów i robijaczy pracy, bo i tacy trafiają się, niestety, wołają: „Te Schumacher!”

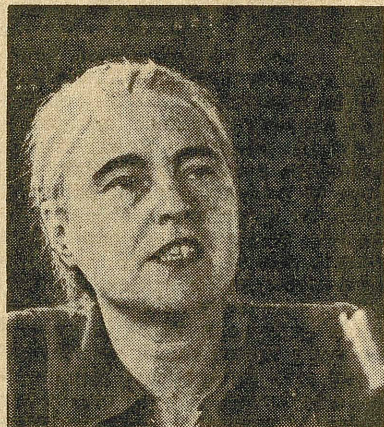
Inżynier zapalił wrzescie papierosa i zdmuchnął nieco zbyt gwałtownie płomyk zapalki.

— Jutro w terenie z kolegą Antekkim — ratował sytuację naczelnik

ZOFIA RZEPLIŃSKA

U M A R L I P O Z O

W roku bieżącym zostały dostępne polskiemu czytelnikowi dwa dzieła historiograficzne niemieckich pisarzy, z których każde stanowi próbę generalnego rozrachunku z przeszłością i odstonięcia klasowych sprzecz w mechanice historii Niemiec. Dzieła te to Alberta Nordena: „Czego nas uczy dzieje Niemiec” i Aleksandra Abuscha „Naród na manowcach”. Już tytuły znamienne są dla funkcji tych rozpraw. Dzieje Niemiec zostały tu poddane laboratoryjnej analizie. Rozłożono je na elementy, zbadano skąd wewnętrzny każdego z nich z osobna po to, aby odrzucić skompromitowane po wielokroć w świetle hi-



Anna Seghers

storii narodów stare formułki, mity o przeznaczeniu dziejowym Niemiec, o „jednostkach demonicznych” i stworzyć wzory znakowań nowe, uwarunkowane klasowym widzeniem rzeczywistości. Na tle tego nowego ujęcia z jaskrawą wyrazistością wyodrębniły się czynniki, pechające „naród na manowcach”, jak również te, które walczyły o postęp stanowiący ich przeciwwagę. Dlaczego siły reakcji trwały, wciąż w zwycięskiej ofensywie która doprowadziła do faszystów, dlaczego wywołanie w końcu mogło już tylko przyszyć z zewnątrz — te właśnie centralne zagadnienia historii swego narodu próbował rozwiązać wyżej wymienieni czołowi działacze antyfaszystowskie Niemiec. W jakim stopniu zamierzenia ich zostały zrealizowane — nie jest tematem niniejszej pracy, z całą wyrazistością jednak należy podkreślić wielce charakterystyczną zbieżność problematyki w dziełach ukazujących się w nowych demokratycznych Niemczech — zarówno naukowych, publicystycznych jak i beletrystycznych.

Gatunek prozy, okazuje się, zupełnie nie wpływa na wybór zagadnień. Powieść — jak zresztą zawsze powieść realistyczna — rości sobie nie mniejsze prawa do rozpraw historycznych, do rozstrąsania problemów społecznych i politycznych, do obciążania odpowiedzialnością historii i ferowania dla niej wyroków.

Parę miesięcy temu ukazała się na wystawach naszych księgarni powieść znakomitej postępowej pisarki niemieckiej Anny Seghers pod tytułem: „Umarli pozostają młodzi” — i nawet niepełna analiza tej książki uprawnia do zaklasyfikowania jej między innymi jako jeszcze jednego kapitalnego przyczynka dla rewolucyjnego badania historii Niemiec.

Ramy dwudziestoparoletniego okresu, poczynając od zakończenia

nik Wydziału — przekona się pan, panie inżynierze, z jaką ofiarnością i jak wspaniale pracują tam nasi ludzie, monterzy, elektrotechnicy i zwykli, prości robotnicy. Może wtedy uwierzy pan, że plan rządowy jest realny.

Walicki ścisnął brodę w garści. — No cóż, zobaczymy!

Z przyczepki przy motocyklu obserwował Walicki tereny, rozciągające się na północ i południe od szosy. Były to nieogarnięte bezleśne obszary, wolne i otwarte aż do widnokręgu, nizina monotonna i płaska — jak stół, pokrajana wszędy i wzdłuż wąskimi rowami odpływowymi i kanałami odwadniającymi.

W bladym słońcu wiosennym płoce burzawy chwałosty, wyszły po odwodnieniu, falowały na wietrze jak łany dojrzałych zbóż.

Antekki, prowadzący motocykl, odjął rękę od kierownicy i zatorczył szeroko łuk. — Wszystko to odwodniłmy w październiku, listopada. Dojeżdżamy do Pilawy, tam już zaczyna się woda.

Inżynier spojrzął na swą rozpostartą na kolanach mapkę, trzepocząc mu pod rękami jak ptak.

— Pilawa! — rzekł Antekki wskazując w kierunku północnym, gdzie srebrzyło się w słońcu rozlewno niby wielkie jezioro o dalekich, niedostrzegalnych brzegach.

Stacja pomp za zakrętem, z lewej strony szosy, parterowy bu-

dynek z wieżyczką dla transformatora, wyrosła nagle w polu widzenia i powiększyła się szybko jak na zbliżeniu filmowym.

Z prawej strony woda na polach podchodziła pod burte szosy. Opodal, na rozlewkach widać było zakotwiczone czołna, tratwy i pontony, a na nich i obok nich ludzie, zanurzeni do pasa w wodzie. Ludzie ci trudnili się nad wznoszeniem obalonych słupów do linii wysokiego napięcia.

Antekki zgasił motor.

— Hallo, kolego Walny — zawołał.



Od tratwy odbiła łódź z dwoma ludźmi i popłynęła w kierunku szosy.

Walicki przyglądał się z przyczepki pracy ludzi na rozlewiskach. Miedzy dwa pale, białe kafarami jeden blisko drugiego w grunt pod wodą, robotnicy uświali i przykrecali do nich śrubami wysoki słup. Właśnie w tej chwili, pomagając sobie chorąlnym krzykiem, wznosili na sznurach słup ze zwojem drutów. Inżynier oceniał trud i moźół ludzi przy tej pracy. Woda im przeszkadzała, wiatr psuł robotę, zrywał i płał przewody.

Walny wylądował na szosie i podszedł do motocykla. Czarna, skórzana kurtka, spodnie i gumowe buty z cholewami miał zmoczone wodą — jak po rzęsimym deszczu. — To nasz nowy inżynier — zapoznał Antekki kolegę z Walickim. — Jak stoicie z robotą?

Walny odwrócił się w stronę pracujących w wodzie. — A no, jak widzieli — wskazał ręką na ludzi, podnoszących słup — Pojutrze dociągniemy linię do stacji.

Wszyscy trzej odwrócili się teraz w przeciwną stronę, za szosę, gdzie na nieznacznym wzniesieniu gruntu stał budynek warsztatu.

— Przyslijcie nam tylko wirnik z tych pierońskich warsztatów i puszcę prąd, a pojutrze — zapewnił Walny — uruchomimy pompę.

— Wirnik będzie jutro — odrzekł Antekki. — A prąd można puszcę choćby zaraz. Co jeszcze?

pierwszej wojny światowej, okazały się wystarczająco szerokie dla ujawnienia decydujących elementów kształtujących współczesną historię Niemiec. Rozdział za rozdziałem wykazuje narastanie intensywności wpływu wielkiego kapitału i junkierskiej niemieckiej na życie społeczne i polityczne. Rozwój akcji pogłębia coraz mocniejszymi barwami proces wchłaniania wszystkich dziedzin życia przez reprezentantów pruskiej soldestki i wielkiej finansjery, obraz podporządkowywania sobie klasy mieszczańskiej i obezwładniania przez reprezentantów pruskiej soldestki i wielkiej finansjery, obraz podporządkowywania sobie klasy mieszczańskiej i obezwładniania przez reprezentantów pruskiej soldestki i wielkiej finansjery, obraz podporządkowywania sobie klasy mieszczańskiej i obezwładniania przez reprezentantów pruskiej soldestki i wielkiej finansjery.

tycznych ministrów w rządzie polowanie na członków niezależnej partii socjaldemokratycznej i na Spartakowców trwa w najlepsze. Ta luźna uwaga Klemma trafnie charakteryzuje gatunek ówczesnej „social-demokracji” niemieckiej. Robotnik Gesche dowiaduje się (str. 70), że Eberta wybrano niedawno prezydentem Rzeszy, tego samego Eberta, który — jak powiedział Triebel — niechętnie usunął cesarza i wołał strzelać do proletariatu, niż do eleganckich mundurów z epoletami!

Nie tylko wtedy. Przemysłowiec Klemm wkrótce po zrzuconiu munduru otrzymuje od reakcyjnych Korpusów Ochotniczych rozkaz natychmiastowego stawienia się. Leonarda, jego żona, jest widocznie do brzo zorientowana w sytuacji, gdy rozmyśla: „Czerwona Armia, która przed norem sprzymierzonych zakwaterowała się w Zagłębiu Ruhry, stanowiąła groźbę dla całych Niemiec. Nieudany pucz w Berlinie rozchwiał tylko to bractwo. Podobnie, jak ubiegłej zimy, kiedy to Ebert nie mógł dać sobie rady z rewolucją, wezwał na pomoc starszych oficerów, tak i teraz musiał zwrócić się do tych samych ludzi, którym niedawno w stolicy rzucił kłody pod nogi. Z pewnością był teraz szczęśliwy, że te zakazane korpusy ochotnicze, te rozwiązane brygady, wraz z dymisjonowanymi generałami nie są jeszcze naprawdę rozwiązane, ani też nieodwołalnie zakazane”.

Leonora stanowczo zasługuje na uznanie za tak celny komentarz do sytuacji. Rzeczywiście, całkiem niedługo Fryderyk Ebert, przewodniczący rządu rewolucyjnego w Berlinie, „rzucił kłody pod nogi” reakcji. Już w 1918 r. 10 listopada, w 24 godziny po zwycięstwie rewolucji, zawarł tajne przysiężenie z cesarską kwartą główną, której przewodził feldmarszałek Hindenburg. Na mocy tego porozumienia do Berlina miało wkroczyć dziesięć dywizji, aby wyrwać władzę z rąk Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W cztery tygodnie po ustanowieniu republiki, dwaj wielcy przemysłowcy, panowie von Stumm i von Rheinbaben zorganizowali 6 grudnia 1918 r. pucz, w wyniku którego miało być aresztowana berlińska Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, a Ebert obwołany dyktatorem. Spisek nie udał się i marszałek Hindenburg na życzenie Eberta przysłał siedem zbrojnych dywizji. Natarcie zostało odparte, ale w styczniu krew lała się na ulicach berlińskich, gdyż robotnicy podnieśli spontaniczny protest w obronie jednej z ich zdobyczy rewolucyjnych: nie chcieli dopuścić do bezprawnego usunięcia swego prezydenta policji, niezależnego socjaldemokraty, Emila Eichhorna. Wtedy to w gabinecie Eberta zebrał się rząd i wysocy oficerowie cesarscy. „Socialista” Noske żądał powzięcia energicznej decyzji, ktoś zawołał: „Więc weź się ty do roboty”, a Noske odpowiedział: „Niech i tak będzie, ktoś przecież musi zostać krwawym psem”.

Co było dalej — wiadomo. Generał von Lüttwitz rozkazał „Począdamskiemu Pułkowi” pod dowództwem ks. Hohenzollerna otworzyć ogień do berlińskich robotników. Przywódcy niemieckiego rewolucyjnego ruchu robotniczego: Karol Liebknecht i Róża Luxemburg zostali zamordowani, a wielki kapitał pod okiem „socjaldemokratycznego” rządu rozpoczął organizowanie korpusów ochotniczych spośród najbardziej reakcyjnych mętów, później członków SS i SA.

Taka była postawa przywódców socjaldemokracji niemieckiej. Zwartą w swojej logice i przejrzystą wież konstrukcyjną powieści ujawnia ich zdradę w wielostronnym oświeceniu, w polu widzenia przedstawicieli różnych środowisk społecznych. Ale najdobitniej określa funkcję przywódców socjaldemokracji niemieckiej wewnętrzny monolog komunisty Martina: (str. 237). „Po Ebercie, wybrano Hindenburga, tego i ty jeszcze znałeś. Oto jest cała nauka, którą nasz naród wysnuł z wojny: tyle nam dały wszystkie nasze rany i cierpienia. Wybrano sobie tego feldmarszałka Zörgiebla strzelać do nas na ulicach, na których już za twojego życia do nas strzelano. Zabrał nam 1 maja iść z czerwonymi sztandarami, a bezrobotni, którzy już nie mogą sobie kupić koszuli, cięszą się teraz z brązowych koszul, które otrzymują za darmo, aby mogli nimi okryć swe wychudłe, wynędzniałe ciała”.

Hindenburg został wybrany, bo socjaldemokraci w żaden sposób nie chcieli zgodzić się na wspólną z komunistami kandydaturę Otto Brauna, socjaldemokratycznego premiera Prus. „Socjaldemokratyczni” przywódcy, duchowi potomkowie sztabu Bernsteinów, Legienów, Südekumów, protoplaści Schumacherów i Reuterów byli się socjalizmi jak ognia. Było jasne, że rząd złożony z komunistów, socjalistów, postępowych grup katolików i mieszczańskich demokratów mógł skupić wokół lewicy rzesze wahańcej się, nie zdecydowanej ludności. Gdyby lewica ta wystąpiła z jakimś konkretnym programem upaństwowienia aparatu administracyjnego i gospodarczego — przyciągnęłaby do siebie nowe miliony, które zrazone ciągłymi starciami w łonie partii robotniczej, zdeorientowane i zrozpaczone kryzysem gospodarczym szły na lep propagandy Hitlera. Ale socjaldemokraci niemieccy, „social-imperialiści” w grucie rzeczy, marzyli o zyskach z machinacji wielkiego kapitału. Powstające w owych latach olbrzymie monopole skłoniły ich uważać za dobrodziejstwo dla społeczeństwa. Teoretyk gospodarki socjaldemokraty Hilferding określił na kongresie SPD w 1927 r. te trusty jako „organizowany kapitalizm, socjalistyczna podstawa planowej produkcji”. Nic dziwnego, że tymi „socialistami” trudno było z komunistami dojść do porozumienia.

A doli partii socjaldemokratycznej? Wiernie oddane sprawie robotniczej miały przeciw fatalną szkołę, która skrzywiła ich kregoskup ideologiczny. Kapitalista Castrius dobrze tłumaczy drugiemu kapitalistcie Klemmowi: (str. 206) — „Mamy przecież na szczęście starą partię, która gorliwie tłumaczy naszym robotnikom, dlaczego ten rodzaj rewolucji, bolszewizm, działa na ich szkodę. Partia ta oszczędza nam fetygi, wyliczając cierpliwie na palcach te wszystkie trudności, z którymi nowe państwo radzieckie musi walczyć, więc nie mamy powodu obawiać się zbytnio rosyjskiego socjalizmu”.

Na tle takiej sytuacji nie dziwnym się zażartym kłótniom robotnika Gesche z robotnikiem Triebela. Spór ten ma charakter symbolu głębokiej tragedii historycznej narodu niemieckiego. Rozłam w łonie partii robotniczych był przecież jednym z wężliwych czynników panoszenia się reakcji powilhelmowskiej i kapitału finansowego w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej. Wspólny blok robotników skonsolidowałby opór

Z W O L O N A *)

Walny poglaskała się frasobliwie po cieniu. — Co jeszcze?... Zdejmijcie Cegłę z roboty. Wałkoń, balamuci mi ludzi.

— Pogadam z nim. Antteki poszedł z inżynierem w kierunku mostu nad kanałem, wypełnionym zieloną wodą z kółkiem rżeszy. O pół kilometra dalej kanał ginał w zalewiskach na polach.

Grzbietem wału doszli do pomostu przy budynku stacji. Pod mostem robotnicy pracowali przy służbie mechanicznej w rurze wylotowej.

— Dzień dobry, Sarniuk! — zawołał Antteki przechylając się przez żelazną barierę pomostu. — Jak wam leci robota?

W dole ukazał się mały człowieczek w wysłuchanej bluzie i obszarpanych portkach. Lewą nogę, bez buta miał grubo obandażowaną szmatami.

— A no, niczego sobie! — odpowiedział.

— Przyjechaliśmy tu z nowym panem inżynierem — informował Antteki.

Spod pomostu wyłazło czterech ludzi w łachach i z umazanymi czarnym smarem twarzami. — Wzniośszy głowy przypatrywali się z ciekawością nowemu inżynierowi.

— Niemcy wysadzili kłapę samoczną — opowiadał Antteki inżynierowi. — Nasze stocznie na razie nie mogą przyjąć tego zamówienia.

wienia. Tłumaczył się brakiem surowca i różnymi innymi, pilniejszymi robotami. Wobec tego zaczęli się wszyscy, jak tu jesteśmy — technik ogarnął szerokim gestem umazanych jak kominarzy obszarpanców, w dole — głowic nad rozwiązaniem tego problemu.

Antteki zrobił małą pauzę. Ludzie w dole słuchali z wyrazem napiętej uwagi, jak gdyby raz jeszcze przeżywać trudną sprawę. — Jeden z naszych pracowników, Cieślak, zdaje się...

— Tak, Cieślak — podchwycili głosy z dołu.

„penetrując wśród złomu żelastwa na terenie tej właśnie stacji odnalazł szyber, który zakłada się w wypadku naprawy pompy — opowiadał Antteki. — Postanowiliśmy użyć szybera jako służby zamiast kłapy. No i właśnie montujemy.

Walicki ujął w garść klin siwej brody. — Jaki jest poziom wody na polderze?

— Do dwóch i pół metra — odkrzyknął z dołu chór.

— Gdy pompa zacznie pracować i woda na polderze obniży się do jednego metra — wyjaśnił inżynier — wtedy poziom w kanale odpływowym podwyższy się o tyle, że ciśnienie wody zagrazi działaniu waszego szybru, uniemożliwiając dalszą pracę pomp.

Ponura cisza pokryła słowa Walickiego.

— Myśleliśmy o tym, panie inżynierze.

niezbyt — odezwał się Sarniuk schrypniętym głosem. — A może jednak nasz szyber wytrzyma napór wody?

Inżynier pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Co wam się stało z nogą, Sarniuk? — spytał Antteki.

— Szyna mi przytknęła nogę.

— Możecie chodzić?

— Chodzić trudno, ale pracować mogę.

— A gdzie to Cegła?

— Pewnie rybki łowi — roześmiał się ktoś.

Antteki zaprowadził inżyniera do budynku pompy, spod którego robotnicy wywozili taczkami gruz po rozwalonej przez pocisk artyleryjski części mieszkalnej. Hala maszyn ocalała nienaruszona.

Pozostawiając inżyniera Antteki ruszył na poszukiwanie Cegły. Nie znalazł go ani przy robocie, ani nad wodą. Udał się więc do stojącego nad rozlewiskiem, drewnianego domostwa, przeznaczonego na mieszkanie dla robotników. Do sieni wchodziło się tu po kładce, łączącej niezalaną, wyżej położoną drogę z progiem domu.

— Jest tam kto? — zawołał Antteki.

— A bo co? — odezwał się cichy skrzekliwy głos. — Do kogo interes?

Antteki nacisnął klamkę drzwi, zza których padło wezwanie.

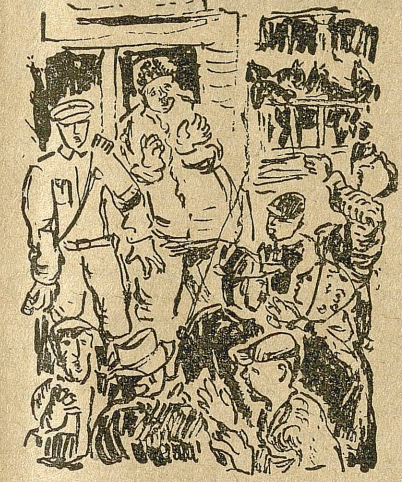
W izbie na jednym z trzech łóżek leżał w ubraniu Cegła z podłożonymi pod głowę rękami.

— Dlaczego Cegła nie przy pracy?

Leżący rozchylił w cynicznym uśmiechu wąskie wargi. — Nie ma dla mnie roboty — zaskrzeczał nieprzyjemnym głosem, nie podnosząc się. — Jak przyjdzie wirnik, to będzie praca dla mnie.

— Jest i teraz robota dla Cegły, przy służbie, przy instalacji przewo-

— Nie będę się moczył w wodzie.



— Mogą inni, może i Cegła. — Ja mam delikatne zdrowie. Serce mi też czasem nawala. — Cegła, nie wstyd wam? Wylegiwać się, gdy inni pracują?

W szparkach przymrużonych powiek błyszczały ironicznie oczy Cegły, zielone jak ślepa kota.

Antteki zacisnął pięści, hamując wybuch gniewu.

— Cegła wstanie i natychmiast zabierze się do roboty.

Leżący gwizdnął prowokacyjnie.

— A jak nie, to co?

— To Cegła zejdzie z pracy — mówił Antteki przez zaciśnięte zęby.

— Od zaraz! Natychmiast!

Cegła podniósł się, jakby podrzucony sprężyną. — To tak? — warknął. — To zejcie, psiamaci!

Pochylił się i wyciągnął spod łóżka worek, do którego zaczął wrzucać przedmioty, leżące na desce okiennej: szczotkę, mydło, kubek blaszany, pudełko z konserwami...

— Łaskę mi może robicie?... To ja wam robie łaskę! Komary, wilgoć, błoto, psiamac, reumatyzm, żarcie pod psem, szyby nie ma w oknie...

Porywczym gestem ręki wskazał na otwór w szybie, zatłoczony szmatą.

— Mam harować za te marne grosze? To się po mnie nie pokaże! Mam na to za delikatne zdrowie!

Najmę się za parobka u gospodarza, będzie mi lepiej. Dostanę lepsze żarcie, będę wiedział za co haruję!

Antteki wyszedł cisnawszy obelżywe słowo i trzasknąwszy drzwiami.

Zza drzwi dobiegł go skrzekliwy głos Cegły: — Zapłacisz mi pan za to! Ja nie pozwolę się obrażać byle komu, psiamaci!

W chwilę później Cegła w jesionce, z workiem przewieszonym przez ramię śpieszył liśm, jakby czając się krokiem przez teren robot.

— Te, Cegła, dokąd? — wołali za nim robotnicy, pracujący przy odgruzowaniu budynku pompy.

— Idę, Fruziu! — odkrzyknął. — Dostę mam waszych komarów i wilgoci! — Łazik! — wrzasnął za nim jeden z robotników.

— „Szumacher“! — wrzasnął drugi.

Trzeci zaś włożył dwa palce do ust i gwizdnął przebiegle, długo, na urągawisko odchodzącemu.

Idąc z Malin do Spółdzielni w Babinosie spotkał Janik na szosie parobka Staśka, prowadzącego na użdźnienicy bez widział skarogadną kłacz. Za Staśkiem syn Poncyliusa rasowa, biało-czarna krowa.

— Skądście to wyszabrowali? — spytał drwako.

— Konie z Unry, a krowy ponoc z Dania! — wyjaśnił młody Poncyliusz.

— Kilka sztuk z Urzędu Ziemińskiego przyszło.

— Dla Poncyliusa i Samolińskiego starczyło, to już wiem!

— Zadrwił znów Janik pośpieszając do Babinosy.

Przed Zarządem Gminy tłum chłopów napierał na budynek usiłując wdrzeć się do wnętrza.

Janik zatrzymał się opodal.

Komendant Posterunku, sierżant Milicji, zagradzał na ganku drogę do drzwi.

— Obywatele! — wołał donośnym głosem przekrzykując wrzawę. — Obywatele, cofnijcie się! Wezwijmy wojsła! Posłuchamy co powie wojsła!

— Wojsła! Wojsła! — rozlegały się w tłumie okrzyki. — Dawać tu kombinatory!

Wrzawa na przemian wzmagająca się i przygasła. Gromada odstępowała powoli i cofnęła się kilka kroków od domu.

Sierżant wywołał z sieni przedstawiciela Zarządu Gminy.

Powitany złowrogim pomrukiem tłum, grubas w żółtym kożuchu i barankowej czapce ukazał się na ganku. Wystraszone, pisały dyszantem: — Obywatele, nie ma o co robić gwałtu.

W pierwszej kolejce musieliśmy dać tłum, co mają więcej gruntu do obrabiania, bo oni więcej zboża muszą oddać rządowi. Gburek niemiecki, które tu przed nami gospodarowały, to były bogate chłopy. Mieli oni po dwie pary koni albo i więcej. I tak było dobrze. Ziemia tu ciężka na Żuławach.

W jednego konia orać nie będzie. Musisz tu mieć dwa albo i trzy koniska.

Wielka wrzawa pokryła ostatnie słowa mówcy. Z tłumy podniosły się złowrogo okrzyki: — Miedzy sobą rozdaliśmy! Znamy was! Kombinatory!

Stojący na uboczu, na szosie chłop z fajeczką, krzyknął donośnie: — Bogaczom dajecie, a biedaków krzywdzicie!

Wojsła usiłował dyszantem przekrzyć wrzawę. — W następnej kolejce każdy jeden...

Gromada z wrzaskiem runęła na ganek.

Sierżant Milicji wznosił rękę. — Obywatele — uspakajał. — Tym sposobem nie nie wskoracie. Ja radzę, zwróćcie się do waszej organizacji, do Związku Samopomocy Chłopskiej...

— Takie same tam kombinatory w zarządzie — podniosły się głosy w gromadzie. — Takie same bogacze jak wojsła. Albo jak Poncyliusz... Jak Samoliński...

— W takim razie zwróćcie się do Partii — doradzał sierżant donośnym głosem. — Partia wam pomoże.

Cisza zapanowała nad tłumem. Wojsła zniknął w ciemnej wnęce sieni.

— Dobrze mówi! — rozległy się pojedyncze głosy. — Do Partii... Frela ułoży podanie!... Sołtys!... Frela jest partyjny!

Zaczęto rozglądać się za sołtysiem. Frela stał na szosie z kilku innymi, cmił papierosa.

Tum odstępował od ganku, rzędną. Chłopi zaczęli gromadzić się na szosie dokoła sołtysa Freli.

Mniej więcej w tydzień po bytności Walickiego i Antteckiego stanęła w Malinach pompa.

W momencie, gdy to się stało, Janik, przeświadczony, że słuch go zawodzi, odczekał chwilę, usiłując posłyszec jeszcze szum motoru, ale przyśrz dreczącą ciszę nie przebiegał się najlżejszy szmer.

Zaniepokojony, wybiegł z izby do hali maszyn i zabrał się nerwowo do oglądania motoru. Niebawem wykrył defekt: prawdopodobnie ze starości, wytopiło się łożysko.

Janik doniósł o tym zaraz do Gminy.

Nowy wojsła Banas, naglił o szybki remont, gdyż przez unieruchomienie pompy mogły podmoknąć grunty, na których chłopi posiali już jare zboża.

Z Pilawy przyszedł wezwany Sarniuk, i wszyscy trzej, Janik, sołtys i Sarniuk, głośno się nad sposobami naprawy panewki.

Po dłuższych naradach Frela wpadł na pomysł, żeby wymienić łożysko z autobusu, który stoi na polu razem z innymi „truchotami z dywizji pancerniej Goerninga.

Sarniuk był zdania, że łożysko z autobusu będzie za małe. Ale Janik zapalił się i ponierał projekty sołtysa. — Motor przy pompie — mówił — jest nieduży, a tamten autobus — jak chłapka. Dlatego właśnie panewka może się nadać.

Rada w radę, wybrali się w pole, na miejsce, gdzie leżały rozwalone samochody.

Sarniuk kreślił łysą głowę. — Na oko — powiedział — kto wie, może będzie pasować. Trzeba rozmontować i zmierzyć. Ale...

Palcem wskazał na dwa napisy kredą na czerwonej ścianie wozu, jeden — prawie już starty i zamazany, zaś drugi — wyraźny, świeżo widoczny położony.

— Nie da rady inaczej — uniósł się popędy Frela. — Trzeba iść i zapytać, czy pozwoli po dobrej woli wyjąć panewkę. Nie byłby chyba człowiekiem, gdyby się sprzeciwił, bo tu idzie o całą wieś.

Poszli więc z powrotem, w kierunku zagrody Samolińskiego.

— Dobra nasza! — ucieszył się Sarniuk na widok Walnego, rozmawiającego w podwórzu z gospodarzem. — Walny nam pomoże.

O co chodzi?

Sarniuk niby kierownik delegacji wystąpił naprzód i wyłożył całą rzecz, jasno i zwięźle. Tak i tak. — Jeżeli nawet „warsztaty w Plenie — rozumowa! — które są zawalone robotą, zgodzą się wyremontować łożysko, to naprawa potrwa kilka tygodni. Przez ten czas chłopom podmokna grunty i zasiewy się zmarzną. Dlatego potrzeba nam zaraz tej panewki. Ja myślę, że pan Samoliński zgodzi się i pozwoli wyjąć...

Samoliński w wojskowej kurtce, w butach z cholewami, założony ręce za plecy stał i słuchał z doskonałą obojętnością. Dopiero przy ostatnich słowach wyrzeszczył oczy.

Sarniuk, zdetonowany, dodał: — Na mój rozum, to całej wsi na tym zależy...

Samoliński zaczął kłusować się i kaszlać. Ludzie kochani — wykrzknął wreszcie zdławionym głosem — wy chyba macie źle w głowie? Żle w głowie! powtórzę. Twarz mu pociemniała i zrobiła się purpurowa aż po brzegi siwych włosów.

— Żeby wymagać czegoś takiego?... Nie, u Boga Ojca, nie mogę tego słuchać!

To rzekłszy odwrócił się i ruszył energicznie do domu.

— To tak? — rozłożył się sołtys i kijkiem dziobał ziemię.

— A no, dobra! Wiadomo, czego się trzyma.

— Sami sobie poradźmy!

— Nie będziemy pytać o zgodę — wykrzknął Janik zapalczywie — i wymontujemy dziadową panewkę!

— Janik! — zagrmiał ostrzegawczo Walny tubalnym głosem.

Wszyscy trzej, Sarniuk, Janik i sołtys patrzyli wyczekująco na Walnego.

— Stefan! — rozległ się podrażniony głos gospodarza.

— Tylko bez kawałów! — akcentował gburawo Walny przenosząc kolejno wzrok z Janika na Sarniuka i wreszcie na sołtysa.

— Znajdźcie się sposób na uruchomienie pompy, ale nie robć mi kawałów!

— Stefan, proszę cię! — wzywał Samoliński siostrzeńca.

Walny odwrócił się i pośpieszył ku domowi.

— Widzisz, coś narobił! — Samoliński w sionce przyparł siostrzeńca do ściany. — Mówiłem, że byś mi załatwił w Gdańsku tę sprawę! No i załatwiłeś, psiekrew! Dotąd nie mam odpowiedzi! Ładnie mi się odwiedziasz! Chamy gotowe rozebrać autobus.

Bronka, przerażona, przyglądała się tej scenie.

Gdy ojciec, poirytowany, zostawił siostrzeńca i przeszedł przez kuchnię do pokoju, Bronka dopadła kuzyna w sionce. — Stefan, załatwił ojcu te sprawy — chwyciła go za ramię i potraszała nim. — Zobaczysz, że to się na nas skrupi, jeżeli nie załatwisz.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

*) Fragment noweli filmowej.

STAJĄ MŁODZI*)

społeczeństwa przeciwko hitleryzacji i wielki kapitał nie miałby tyle do powiedzenia, powołując do władzy swego „meza opatrznosciowego”. Ale postać robotnika socjaldemokraty, Geschkego, doskonale obrazuje manowce światopoglądowe, na które zostały zapędzone masy SPD. Geschke decyduje się na udział w pogrzebie Karola Liebknechta i Róży Luxemburg, a udział w dławieniu puczu Kappa i karabin ukryty za szafą świadczy o wyraźnie rozwiniętej świadomości klasowej. Jego cierpienia z powodu nazistowskiego wychowania syna Franja, i głęboka dumna potoczona z ojcowską czułością w stosunku do przybranego dziecka Hansa — za to, że wyrosło na socjalistę; pieniądzą potajemnie, wsuwaną pod stomanie żonie komunisty przebywającego w obozie koncentracyjnym, zaciekle nienawidzą do faszyzmu — wszystko to przecięż wyraźnie określa miejsce Geschkego w układzie politycznym społeczeństwa. Ale również bezwzględnie ważką wymowę mają jego spory z komunistą Triebelm. Kiedy w 1932 r. pruski gabinet socjaldemokratyczny Brauna został usunięty przez rząd kanclerza Rzeszy, Papena, Geschke jest kompletnie zlamany. Oczekiwał walki, odsunął szafę i wyjął karabin, żeby każdej chwili być w pogotowiu.

„Ale nazajutrz nikt po niego nie przyszedł, usunięty minister nie wezwał go: odważył się do trybunału Rzeszy”. Klęska przyszła bez walki, bez oporu, ale nawet i to niczego nie nauczyło Geschkego. Z wsieklnością wola do komunisty Triebela: „Robiliście zawsze wszystko, żeby mu szkodzić; z pewnością zadowoleni jesteście z tego, co się stało, samiście przecie tego chcieli”. Triebel w kłótni rzucił mu na koniec: „Trudno pomóc temu, kto stracił głowę”. I naprawdę niedaleko odbiegł od rzeczywistości w tym stwierdzeniu.

W 1933 r. sześćdziesięciu, posłów socjaldemokratycznych głosowało na Hitlera, a w 1932 żaden z ich przywódców nie chciał się zgodzić na wspólny front obrony przed faszyzmem. Konsekwentnie, ani słowa, i komunisty umieli to właśnie przewidzieć. Ale upadek gabinetu Ottona Brauna był dla nich nie mniejszym ciosem niż dla socjaldemokratów. Był to przecież niemal ostatni cypel wśród szalejącej już nawałnicy hitleryzmu. Triebel mówi: „Dziś to już nie to co było wczoraj. Dziś ta szajka usuwa człowieka, aby na jego miejsce posadzić kogoś jeszcze gorszego”.

Tak to przyszedł moment, kiedy koalicja w rządzie wydała się faszyzmem zbyt słabą, a wtedy ostatnie, socjaldemokratyczne gabinety rozpadały się w proch. Skończyła się era „współpracy” i zaczęła hitlerowska dyktatura. Kapitałisi „wypuścili na estradę” swego kuglarza. Czyhanie na pomocnika pokazane jest w powieści Seghers w paru świetnych, aż drapieżnych w swej przenikliwości fragmentach.

W tym miejscu wyjaśnia się zagadka ośniewających i zawrotnych w swej nagłośności sukcesów Hitlera na początku lat trzydziestych. Wiadomo przecież, że w tym okresie szanse hitlerowców zaczęły maleć. W wyborach 6 listopada 1932 r. SPD otrzymała 7,25 milionów KPD — 6 milionów, a hitlerowcy stracili 2 miliony głosów. W partii rozpoczął się kryzys i katastrofa musiała zagrażać skoro w pamiętniku Goebbelsa czytamy m. in.: „Jesteśmy wszyscy bardzo zdemoryowani przede wszystkim ze względu na zagrażające partii nie-

bezpieczeństwo rozkładu... Führer chodził godzinami po pokoju hotelowym, raz jeden przystanął i powiedział: „Jeżeli partia rozpadnie się, skończy samobójstwem w ciągu trzech minut”.

„Ale partia NSDAP nie mogła się rozpaść, bo to był — jak mówi kapitalista Castričius — „socjalizm narodowy, dobry dla wszystkich”, niezawodny oręż imperialistów, któremu nie wolno było dać się wyszczerbić. Nie było przedtem dużej partii, która by umiała tak wykorzystywać nędzę szerokich mas mieszczańskich (ta pozorność poprawy bytu zaznaczona jest kilkakrotnie na tle pogawędek wśród biedoty drobnomieszczańskiej i proletariatu). Zasugerowano i zdyna-

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... — mówił... — A to jest... — mówił...

— A to jest... —

TADEUSZ SZEWERA

CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ W SZKLARSKIEJ PORĘBIE KLASYK CZESKIEJ PROZY

Kiedy siedzieliśmy zapatrzeni w sinocielone pasmo Karkonoszy, słuchając fantastycznych legend, które nam z zapałem opowiadali autochtoni o mieszkańcu gór — Litczyrzepie, albo kiedy leżąc na zielonych zboczach przyglądaliśmy się w czerwcowym słońcu, tam gdzieś daleko od Szklarskiej Poręby Średniej, w rybnickiej kopalni węgla „Anaprzów”, załoga przygotowywała się do Czynu Lipcowego. Ale to, Konrad Klimek, przebywający na wczasach w Szklarskiej Porębie, nie wiedział. Domyślał się tego jedynie. Nie dotarła do niego, wracającego ustawicznie myślami do kopalni wieść, że tam Czyn wkładał w ręce jego kolegów-górników nowe zobowiązania, że przekraczają codziennie normy wydobywania węgla, że czerwona linia na wykresie biegnie coraz wyżej i wyżej. W Szklarskiej Średniej czas się zatrzymał.

Tow Klimek ma 57 lat. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany mężczyzna, o mądrych, piwnych oczach świadomego robotarza. Siwe włosy, grudek węgla zakrzepłe w skórze twarzy czarnymi plamkami i twarde, sekaty ręce. Wesoły, pełen werwy i jak o nim tu mówiono „chłop jeszcze do rzeczy”.

Klimek był przedstawicielem klasy robotniczej. Znaczenie wczasów oceniał jako zdobywcę socjalną jego klasy. I dlatego może, w przeciwieństwie do innej grupy wczasowiczów, często dzielił się krytycznymi uwagami z kierownictwem ośrodka wczasowego, rzucał projekty, chciał pewne rzeczy usprawnić, by wczas zapewniał robotnikowi i odpoczynek i kontakt ze światem.

„Powietrze w Szklarskiej jest wspaniałe i to jest ważne. Jedzenie więcej niż dobre, przyjemne i czyste pokoki, sport... Ale to przecież jeszcze nie jest wszystko.

Klimek czegoś więcej spodziewał się na wczasach. Według niego nie można poprzestać na wylegiwaniu się na słońcu, patrzaniu na góry. Tu trzeba znaleźć także chociaż cząstkę tego, czym się żyło na fabryce. Klimkowi chodziło o życie kulturalno-oświatowe, które by wiązało się z fabryką lub kopalnią. A tego na wczasach w ośrodku gdzie mieszczą się domy „Wisła”, „San”, „Krokusy”, „Wersalik” itd. w Szklarskiej Średniej, brak. Owszem, w Szklarskiej Górnej istnieje nawet wzorowa świetlica wczasowa, gdzie skupia się życie kulturalno-oświatowe, ale... komu się chce dziennie robić 4 a nawet 6 km w obie strony?

Różni wczasowicze tu przebywają. Młodzi dwudziesto-kilko letni ZMP-owcy, kobiety tkaczki, starsi 60 letni robotnicy, których przedstawicielem jest górnik — Klimek.

Jadąc na odpoczynek do Szklarskiej, by nabrać sił do dalszej pracy przy warsztacie tkackim, przy frezarce, w sztolni, obciewali sobie, że siadają do książek, że dwutygodniowy pobyt wolny od pracy poświęcają w części na doszkalanie. Jadąc do Szklarskiej wiedzieli, że zetkną się z robotnikami różnych zakątków Polski, przypuszczali, iż w gawędach wieczornych podzielią się swoimi doświadczeniami, zdobędą nowe od innych. A tymczasem... Klimek nie dowiedział się o podjęciu Czynu przez załogę kopalni, w której pracuje. Józef Studzian, wiceprzewodniczący koła ZMP przy łódzkiej zakładach przemysłu włókiennego im. Marchlewskiego nie wziął przez cały czas pobytu książki do ręki. I jest rozczarowany. Po prostu narzeka na „takie wczasy”. Nie można mu tego wziąć za złe, skoro chce wrócić do swego zakładu pracy z czymś więcej, niż wyjeżdżał. Chce wrócić nie tylko z nowymi siłami, ale także z nową wiedzą, z nowymi doświadczeniami zdobywanymi we wspólnych dyskusjach aktywistów ZMP-owskich i innych zakładów pracy w Polsce. Chce jednocześnie śledzić bieg wydarzeń w swojej fabryce. Tymczasem przez dwa tygodnie urywa się jego kontakt z życiem zakładu, z życiem organizacji. Tak, jego koledzy przerabiają zapewne już ostatni rozdział WKP (b). Studzian zapowiedział, że wróci już

W poprzednim numerze:

W NUMERZE 30 (261) TYG. „WIEŚ” z DN. 30.VI.50 r.

Stanisław Cieślak — Rozpocznamy wielką bitwę klasową. Jan Maria Giesges — Wywrotomocno waszego porządku. Min Bek Huk — Powrót do ojczyzny. Stefan Wilanowski — Precz od Korei. Hanna Kirchner — W poszukiwaniu człowieka. Seweryn Skulski — Głos czytelnika. Włodzimierz Słobodnik — Pieśń o Łodzi fabrycznej. Marian Kozłowski — Aby było jasniej. Stanisław Kowalewski — 125 procent. Kazimierz Wyka — Skąd i dokąd? A. Wasilew — Dymitrow o sztuce. Kazimierz Kąkol — Współzawodnictwo i racjonalizacja. Mieczysław Lech — Socjalistyczna pedagogika. Stanisław Krakowiak — Na północnym Kaukazie. Jerzy Skórnicki — Czeska powieść proletariacka. Wiesław Wijski — Kobieta działaczka. Piotr Chmura — Życiorys społeczny. Fakty i zdania. 9 ilustracji. Stron 8.

z przerobioną historią. A jednak jej nie przestudiował.

Tuż przed wyjazdem rozmawiałem przypadkowo z robotnicą sortownicą jednej z łódzkich fabryk. Usłyszałem, iż nabrała nowych sił, że odpoczęła, warunki były naprawdę dobre (mieszkała w „Sanie”). Ale mimo wszystko czas spędziła nie pożytecznie. Dlaczego?

Nie było żadnej imprezy ani pogadanki politycznej, kina objazdowego, nie czytała nawet codziennych gazet, bo nie dochodziły. Na wycieczki, nie mogła chodzić, ze względu na swój stan zdrowia. Pozostawało jej więc wysiadanie przed domem wczasowym na słońcu i... nuda. Nie mogła przeczytać ani jednego tygodnika czy miesięcznika dla włókienników, które tak pilnie w Łodzi śledziła. Nie dochodziły.

Jak się po tym dowiedziałem robotnica ta była bezpartyjna. A więc nie tylko partyjni, ale i bezpartyjni odczuli oderwanie się od swego zakładu pracy.

W każdej fabryce, kopalni istnieje ognisko łączące robotników w zwartą masę, są miejsca stałych kontaktów ludzkich. W fabryce zespała robotnika partia i organizacje społeczne. Życie ma swoje tętno, są terminy wykonania planów wyznaczonych przez kolektyw robotniczy, są normy. Każdy z pracujących w fabryce, doskonale orientuje się w wydarzeniach, czyta gazety i książki, uczeszcza na wykłady kursów szkoleniowych, słucha radia.

W Szklarskiej Porębie Średniej natomiast jest odwrotnie.

Odnosi się wrażenie, jakby czas nagle zatrzymał się, zamął na okres wczasowego, dwutygodniowego pobytu. W tym czasie jednak, już poza rogatkami ośrodka FWP, gdy grono wczasowiczów wygrywa się w słońcu beczynnie, dzieje się w kraju i świecie ważne wydarzenia, dokonuje się wiele zmian. W Zgorzeli położenie pieczęci pod wiekopomny akt, zatwierdza granice na Odrze i Nysie, utrwalając przyjaźń między Ludową Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Robotnicy kopalni, hut, fabryk podejmują apel kolejarzy Tarnowskich Gór wzywający do Czynu Lipcowego. Na Korei lud walczy przeciw kapitalistycznym ciemiężcom o wolność.

Mogłoby się to wydać paradoksem, a przecież te wszystkie wydarzenia przechodzą niezauważalnie ponad całą gromadą robotników, spędzających w Szklarskiej Średniej wczasy.

Dzieje się tak dlatego, że nie zorganizowano odpowiedniego życia kulturalno-oświatowego, że zawiadzone zostały nadzieje robotników na znalezienie w bibliotece domu wypoczynkowego dobrej książki, że w świetlicy nie doszuka się świeżej gazety.

Świetlica na cztery domy. Jeden, oddalony od „Wisły” i „Sanu” o 150 metrów, od „Krokusów” o czterysta, mieści się w „Wersaliku”. Jest pianino, na którym z tego turnusu nikt nie umiał grać. Stoi więc beczynnie wraz z popsytanym radiodiodniakiem. Na stoliku walają się zdekompletowane szachy i warcaby, obok gazety z ubiegłego tygodnia.

To wszystko, zapytacie? Tak. Jeszcze 20 — 50 tomowe biblioteczki przy domach i to nie zawsze o właściwym doborze książkowym. A przecież idzie o to by 200 robotników znalazło tu dobrą beletrystykę. Biblioteczki marksistowskie są rzadkością.



U wodospadów Szklarki

Patrząc na to wydaje się, że po prostu zapomniano, iż robotnikowi należy się coś więcej niż dobre jedzenie, czystość i przyjemne pokójki. Zapomniano, że wczas to nie tylko zdobywanie sił fizycznych, a życie robotnika nie tylko normy produkcyjne. Życie, które się tu toczy, winno mieć choć w części związek z całością krajowych i światowych wydarzeń. A tego związku nie ma wcale. Życie zaś polityczne... zamiera całkiem.

W fabryce życiem kieruje partia, jest nauczycielem każdego robotnika. Tu wczasowicze chodzą w pewnym sensie samopas, pozostawieni samym sobie. Nawigującymi kontaktami, są wynikiem „spotkań przy obiedzie, nie zaś gawędzie wieczornej albo dyskusji zmierzającej do wymiany doświadczeń. Ani jednej pogadanki o treści społecznej, ani jednej dyskusji, ani jednego wieczoru prasowego czy prelekcji o najważniejszych wydarzeniach w kraju i na świecie! Do gazet znajdujących się w świetlicy, a noszą-

cych datę ubiegłego tygodnia, wczasowicze nie zagląda.

Prawie wszyscy robotnicy, między nimi, tow. Klimek i robotnica sortowaczka liczyli na to, iż wolny czas spędzą na powietrzu w atmosferze dobrej książki, lub popołudnia literackiego. Lecz zawiedli się, mimo że na zjazdach literackich padają słowa, iż tworzy się nową kulturę, nową książkę. Mimo, iż ci sami literaci chodzą po Szklarskiej Porębie, piją kawę i tworzą z daleka od środowiska, dla którego piszą. Ba, nawet nie pomysleli o skromnym wieczorku literackim dla robotników. A ci mają moc czasu i dość miejsca by usiąść, wciąć książkę do ręki i czytać, zapoznawać się z wydarzeniami z łamów gazet codziennych, posłuchać doświadczeń drugich robotników i podzielić się z nimi własną wiedzą fachową w dyskusji na wieczornej gawędzie, posłuchać nowych poezji i prozy na wieczornej literackiej. Cóż jednak robić, gdy tego brak, gdy zamarli w Szklarskiej czas, urągając potrzebom kulturalnym robotnika.

Tow. Klimek na ojedzonym wyraził chyba w imieniu wszystkich wczasowiczów nadzieję, że następni górnicy i włókiennicy, zastaną w „Wisła” i „Sanie”, w „Wersaliku” i „Krokusie” tętniące życie kulturalno-oświatowe.

Tow. Konrad Klimek skierował pod adresem kierownictwa Ośrodka FWP na Szklarską Średnią kilka życzeń. Życzenia te skrzętnie spisałem:

— Czy nie można by w oparciu o instruktora kulturalno-oświatowego organizować stałych pogadek na tematy społeczne i kulturalne?

— czy dla aktywistów partyjnych, którzy na czas wczasów przeżywają szkolenie ideologiczne w zakładzie pracy nie mogliby instruktorem na miejscu takiego szkolenia organizować?

— czy nie możemy wejść w kontakt z literatami i dziennikarzami, którzy tłumnie okupują Dom Literatów i Dom Zdrowia Dziennikarzy w Szklarskiej, by urządzali oni dla robotników wieczory literackie?

— czy nie można by świetlicy, chociaż tej jednej na cztery domy zaopatrzyć w sprzęt do gier i zabaw?

— czy radiowęzeł jeleniogórski nie mógłby w ramach czynu lico-powego radiodifundować domów: Wisła, San, Krokusy itd.?

— czy rozdzielna gazeta nie byłaby w stanie dostarczać regularnie usprawniającą kolportaż, codziennie świeże gazety ze wszystkich zakątków Polski?

— czy kierownictwo ośrodka nie mogłoby zarenumerować czasopism i periodyków zawodowych oraz fachowych?

Chyba to wszystko można zrobić.

TADEUSZ SZEWERA

BRONISŁAW CIRLIK

„Każdy komu gmach (narodowy)... jest drogi, odrzuci na bok pedzel artysty, a pochwyli skwapliwie kielnię murarską.” Słowa te nie zostały zacerpniete z jakiegoś współczesnego nam oświadczenia. Wypowiedziała je blisko sto lat temu postępowy pisarka Karolina Svetla, której pełne uwielbienie strofy poświęcił wybitny poeta czeski Jaroslav Vrchlicky, a nad której 80-ty tomowym dorobkiem literackim współczesna powieściopisarka czeska — Maria Pujmanowa zawołała: „Cóż to za wielka kobieta!”

Joanna z Rottów Mużakowa — bo tak się naprawdę nazywała Karolina Svetla — urodziła się w Pradze, 24 lutego 1830 roku. Kształciła się w szkole niemieckiej i wychowywano przy pomocy zgermanizowanych Francuzek — wychowawczyń. Nie stłumiło to jednak bujnego rozwoju jej czeskiej świadomości narodowej. W Wiośnie Ludów widziała zapowiedź nowych czasów, rok 1948 tak zachowała w swej pamięci i przekazała nam w swych utworach. Wyszła za mąż za nauczyciela muzyki i rysunku — Piotra Mużaka. Okolice jesińskie w południowych Czechach — to jego strony rodzinne. Był to zakątek, który mimo ówczesnego zalewu niemieczyzny, zachował nieskalaną czeskość i żywe, najlepsze, wolnościowe husyckie tradycje. Tamtejsi ludzie nauczyli Karolinę Svetlę życia. To oni nauczyli ją nienawidzić ucisku i wyzysk człowieka przez człowieka, przekazali jej swoje umiłowanie wolności i równości ludzi. Oni nauczyli ją słów: „Ziemia niechaj będzie podzielona pomiędzy chłopów według członków ich rodzin. Fabryki dla tych, którzy w nich pracują. Handel też powinien przejść do rąk społeczeństwa. Tylko w ten sposób położą się kres ziemi ustroju obecnemu, gdzie drapieżność jednostek pochłania siły setek obywateli, a chciwość kilkunastu wyzerpuje dobrobyt całego kraju. Nadwyżki dochodu społecznego trzeba zużyć na szpitala, sanatoria, szkoły i inne dobroczynne i nieodpłatne instytucje”. Lud podjętęski pomógł jej również w tym, że wcześniej przestała się ludzi obrazem jakiegoś ponadklasowego społeczeństwa, zrozumiała znaczenie ludu, dostrzegła nowy dla niej świat — robotników i biedoty wiejskiej, a w usta jej włożyły własne słowa, westchnienia i życzenia: „Chyba już na zawsze przeszły te czasy, gdy ten był pierwszym, kto najwięcej miał”. O, wygina panowie, że po nich śladu nie zostanie potomnym... Nie będziemy im współzuc, wszak nie są naszymi bliźniymi!”

Chociaż Karolina Svetla z pocho-dzenia była mieszczańką, jednak tematykę niemal wszystkich swych utworów czerpała z życia wsi podjętęskiej i dopiero poprzez Podjętęską zaczęła widzieć Pragę i

jej mieszkańców, szukając wśród nich bliskiego sobie świata: Pragi z jej bohaterami dni Wiosny Ludów, ludzi walczących o lepsze jutro, potępiając równocześnie współczesne sobie, egoistyczne „ograniczone, zasklepione w swoim świecie, wynarodowione mieszczaństwo.

Z takim poglądem na świat, ludzi i ich sprawy wyrasta w zarys czeskiego odrodzenia. Debiutowała w r. 1858 w almanachu „Maj”, wokół którego gromadzili się najbardziej postępowi pisarze czeszy owych czasów. Obracała się w kręgu takich pisarzy, jak Rudolf Mayer, Josef Barak, Jan Neruda, Božena Němcová. Tworzyła blisko czterdzieści lat, kładąc wielkie zasługi dla rozwoju czeskiej świadomości narodowej. Umarła jesienią 1899 r.

Karolina Svetla doczekała się jeszcze za życia wysokiej oceny swego dzieła. W Polsce była także ceniona i tłumaczona, a za żywcio-wość okazaną powstańcom polskim 1863 roku odważnił się jej szczera sympatia. Już w r. 1882, w ramach Wydawnictwa Dzieł Tanich ukazało się tłumaczenie „Z rodzin-nej kroniki”, dokonane przez Bronisławą Grabowską. Potem przyszła „Oczarowana” i „Z naszych walk i bojów” w tłumaczeniu Marii Czesławskiej (r. 1900) oraz powieść „Ostatnia Pani Głogowska” (r. 1903) i inne. W ten sposób wbrew sądowi Janiny Preger („Nowa Kultura”, Nr. 10) przynajmniej co do dzieła Karoliny Svetle nie istnieje „żenująca luka w naszej wiedzy” i społeczeństwo naprawdę miało okazję dowiedzieć się o jej prozie.

Ale trzeba tu naprawić inną krzywdę. Mianowicie w Polsce ówczesnej — jak to się zresztą w ogóle często zdarzało — umyślnie wykrzywiano sens społeczny i polityczny jej dzieł. Dla przykładu przytoczę słowa Bronisławy Grabowskiej z przedmowy do wspomnianego już przekładu z r. 1900: „Nie pochwalając wybrzyków socjalizmu i krancowej demokracji, przed którą śmiało młodzież czeska ostrzegała, była demokracją w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.” Wniosek zawarty w drugiej części zdania to już sprawa B. Grabowskiej, ale stwierdzenie początkowe to czyż jego wymysł. Żeby się naocznie o tym przekonać, wystarczy sięgnąć chociażby do wydanej w polskim tłumaczeniu „Dzwoneczkowej Królowej”.

Na marginesie recenzji należałoby poruszyć jeszcze raz palącą sprawę poprzedzania wydań klasyków przedmowami, omawiającymi twórczość autora i wprowadzającymi w treść książki. Nie zawsze bowiem czytelnik orientuje się łatwo w gąszczu manier artystycznych dawnej epoki.

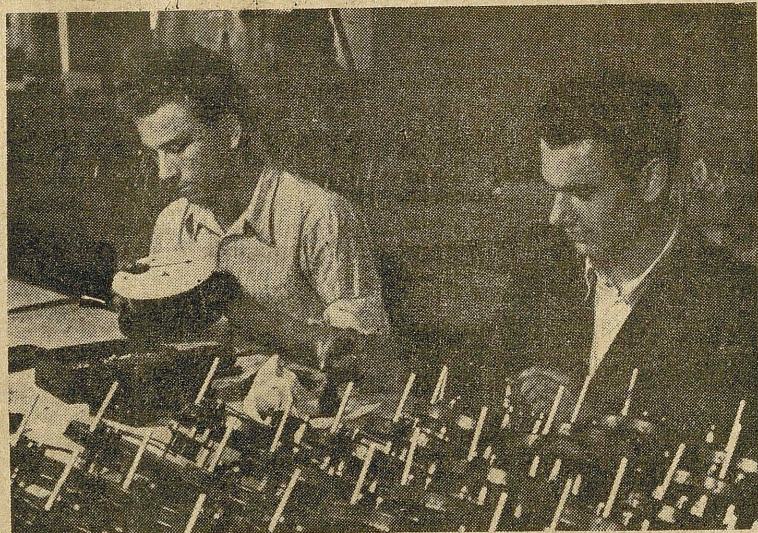
„Dzwoneczkowa Królowa” nie przedstawia pod tym względem specjalnego labiryntu. Pod baśniowym nieco tytułem, pod osłoną staromodnej przesady w porównaniach, naiwności sylwetek psychologicznych bohaterów, wzniosłości, odkrywamy szybko pozytywną i miłą książkę, mówiącą o sprawach realnych i wiecznie żywych — o walce przeciwko ciemności i walce o lepsze życie. Co prawda autorka odbiega tu nieco od swego zwyczaju wybierania bohaterów powieściowych spośród „ludzi prostych”: chłopów czy drobnych mieszczań i snuje romans wśród bohaterów „z wyższych sfer” mieszczańskich i arystokratycznych Pragi, jednak przy akompaniamencie dalekich ale sugestywnych odgłosów powstania chłopieckiego w Czechach 1775 roku i Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wachlarz poruszonych zagadnień jest bogaty i szeroki. Mówi nam Svetla o przemysłowej eksploatacji robotników i chłopów, o ciemnych machinacjach jezuitów i ich podstępnych hamowaniu postępowych dążeń, mówi o przebudowie świata, pochwała zwolenników Rewolucji Francuskiej, walkę o polepszenie dołi wyzyskiwanych, dręczonych głodem i biciem. Chłoszczę obłudę, zakłamanie w stosunkach towarzyskich wyższych sfer, powierzchowność religijną, a literaturę w rodzaju „Rycerzka Niepokalanej” nazywa „świadeństwem, na jak niskim poziomie ówsiady spał wówczas (150 lat temu!) naród czeski, skoro podobne rzeczy cierpliwie przyjmował”. Ale jednocześnie kreśli obraz księdza związanego z ludem, prześladowanego przez wyższe hierarchie kościelne, gloryfikuje oświatową ludową i poświęcenie dla ludu.

„Dzwoneczkowa Królowa”, mimo pewnej staromodności manier artystycznej, reprezentuje rzetelne postępowe wartości ideowe. Opowiadanie się po stronie walki z absolutyzmem i jezuityzmem, ukazanie głębokich walorów moralnych ludu czeskiego, potępienie i wyszydzenie wynarodowionej czeskiej burżuazji i arystokracji, szczera sympatia dla ówczesnych dążeń rewolucyjnych — oto jej najwybitniejsze zalety. Państwowy Instytut Wydawniczy dorzucił ceną pojęcie do naszego zasobu, jakże dotąd szczupłego, przekładów z klasyków prozy czeskiej.

BRONISŁAW CIRLIK

JERZY K. MACIEJEWSKI

POMÓŻMY ZNALEZĆ WŁAŚCIWĄ DROGĘ



Uczniowie Państwowego Liceum Elektrotechnicznego we Włochach przy montażu miernika elektromagnetycznego

7-klasowa szkoła podstawowa w tej nadmorskiej osadzie jest szkołą zbiorczą, tzn. w klasach starszych obsługuje także okoliczne gromady. Gmina zresztą jest nie duża: ma 6 gromad i niecałe 2 tys. mieszkańców. Dzieci jednak, jak wszędzie w naszym kraju, jest za-trzeżenie.

Tutaj, na odcinku polskiego morza między Kołobrzegiem a Koszalinem, spotkali się i żyją zgodnie zarówno mieszkańcy Wileńszczyzny, jak i Kieleckiego, Warszawy, Pomorza i Wielkopola. I w tym wspólnym tygłu zaciera się u młodego pokolenia nawet dzielnicowy niegdyś akcent.

Kierownik skończył mówić. Sa-la oklaskami pokwitowała jego przemówienie. Na scenę, tzn. na tych parę metrów kwadratowych przed katedrą, wystąpiło 6 dziewczynek w strojach ludowych. Tańczyły pod przyspiew całej sali. Akordeonista jeszcze milczał. Przy-sunął się do grupy siedmioklasistów i pierwszego z brzegu spytał, co zamierza robić po opuszczeniu szkoły?

— Pójdę do szkoły mechaników lotniczych — odparł zdecydowanie.

— Co wpłynęło na ten wybór?

— Tu, nad wybrzeżem, często latają samoloty. Widać jakby chciał być tym, kto czuwa, by samolot, zanim uda się w swój trudny lot, był niezawodny, by działał jak zegarek.

Proszę zwrócić uwagę na sposób sformułowania jego wypowiedzi, którą zanotowałem niemal dosłownie. Był to wyraz dojrzałości, prze-myślanej decyzji, być może: wynik rozmów z wychowawcami.

— A ty — spytałem innego, któremu długie, szczupłe ręce wystawały z przykrótkich rękawów wyszarzałej kurtki.

Uśmiechnął się niepewnie. Roz-zejrzał się wokół. Koledzy wzrokiem zachęcali.

— Ja chcę być sprzedawcą w dziale elektrotechnicznym w PDT.

— Dlaczego akurat w tym dziale?

— Bo kiedyś zwiadałem szcze-ciński PDT, widziałem, jak sprzedawca wypróbowywał wobec każdego nabywcy żarówkę: przytknięt do takich druków i żarówka za-błyśnie. Znaczy się — dobra. A obok zaraz inny od radia: tu pokręci, tam ureguluje i radio gra. Cały świat gra, mówi, śpiewa.

— Hm — powiedziałem cokol-wiek rozczarowany — to właściwie funkcja raczej mechaniczna.

— O, nie, panie — chłopak oży-wił się nagle. — To nie dlatego. Ale ja to myślałem sobie, że ten, co to sprzedaje, to jest... jakby tu powiedzieć... no tym ostatnim...

— Ogniem — odpowiedziałem, podchwytując jego myśl.

— Właśnie. Ogniem między wytwórną a nabywcą. To wielka rzecz oddawać w ludzkie ręce produkt już skończony, mający służyć pracy i rozrywce człowieka.

Nie wierzyłem swoim uszom. — Ile ty masz lat?

— Czternaście kończę w lipcu.

A gdyby ten chłopak o oczach szarych i twarzy o matowej cerze, o nieregularnych rysach, na pozór typowe chłopieckie dziecko, zoba-czył na Targach Poznańskich ol-brzymie turbiny okrętowe? Gdyby zobaczył wyładowania wielu tysięcy wolt lub turbiny Różnowa dające siłę i światło tysiącom wsi, fabryk, setkom tysięcy mieszkań-ców — to jakież nowe, nie-przeczuwalne horyzonty otłsnął by jego chłopieca, świeża, chłonna wyobraźnia? I jakimi drogami potoczyłoby się jego przyszłe życie?

Nie bez kozery stanąłem obok VII klasy. Szybkie pytania i od-powiedzi:

— Czyś chcesz zostać?

— Oficerem.

— Jak wpadłeś na tą myśl?

— Na gminie wisi plakat wer-bunkowy. Mój ojciec zginął na Wa-le Pomorskim... Chcę bronić Polski Ludowej.

— A ty? — zagadnięta dzie-wczynka odparła rezolutnie:

— Pielęgniarką.

— Doradźono ci, czy to wypły-wa z przekonania?

— Kiedy moja matka leżała w szpitalu, przyjrzałam się pracy siostr. To piękna i pożyteczna pra-ca. Wiem, że pokocham ją.

— No dobrze, a ty?

— Ja zostanę górnikiem — od-powiedział poważnie.

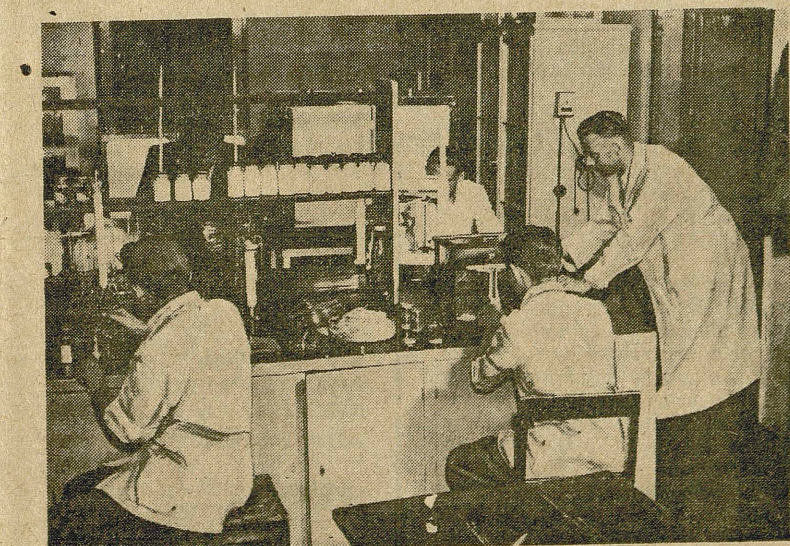
— Górnikiem? Czyś czytał pla-katy?

Nie, ale tu, w domu „Przodo-wnik” byli na wczasach górnicy. No i poznałem jednego. Opowia-dał mi dużo. Mówił, że praca ciężka. Ja wiem. Ale ja się pracy nie boję. A wiem, że węgiel, to nasze złoto. To, obok pracy, nasze największe bogactwo...

I po chwili namysłu odlnł mnie nieoczekiwaną refleksją:

— Ten górnik miał twarde ręce i twarz w jakichś ciemnych drachach, ale serce miało złote. I ja też będę przodownikiem.

JERZY K. MACIEJEWSKI



Młodzież w laboratorium Państwowego Liceum Mleczarskiego we Wrześni pod Poznaniem

*) Karolina Svetla, Dzwoneczkowa Królowa, Warszawa, 1950, przekład Zdzisława Hierowskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 219.

ANIELA DASZEWSKA

MŁODZIEŻ ZMP BUDUJE NOWĄ HUTĘ

Ide na bloki młodzieżowe. Zdaleka widzę blok XVI otoczony strażą czerwonych sztandarów, wetkniętych w zwarty piaszczysty teren. Na długim transparentie widnieją białe litery napisu: — „Tu 51 Brygada — kolega Ozanski i Szczygło ustanawiają szczytowe osiągnięcie w młodzieżowej murarce zespolowej”.

Zetempowscy murarze Nowej Huty biją rekord młodzieżowych brygad Muranowa! To oczywiście sprawdzian wartości szkolenia zawodowego na budowie „Nowej Huty”.

Trzy miesiące zaledwie jak przyjechali do Ochotniczych Zetempowskich Brygad na Nową Hutę, jako niewykwalifikowani robotnicy, dziś budują 100 — tysięczne, socjalistyczne miasto, nowy punkt geograficzny na mapie. 2.800 chłopców trzech zetempowskich brygad ochotniczych szkoli się na murarzy, monterów, elektrotechników, szoferów, mechaników, ślusarzy, zbrojarzy, betoniarzy, betoniarzy, cieśli, stolarzy... którzy będą stanowić przyszłą świadomą swą historyczną rolę załogę robotniczą nowego, zbudowanego przez siebie kombinatu przemysłowego. — „To nasz Komsomolsk” — mówią chłopcy.

— Na stanowiska! Rozlewać wapno! Zaczynamy! — krzyczy przewodniczący zarządu ZMP — Brygady 51, kol. Słysz. Głos jego ginie w zamieszaniu na obszernej budowie. Biega więc jak w ukropie. Włosy w mokrych strąkach opadają mu na spócone czoło, pot zlewa twarz i kołnierze zielonej koszuli. — „Lina — cholera!” nawałita i kolega Słysz debiutują na wysokości z za uszkożonej betoniarzy, którą gorączkowo remontowała obsługa maszyn.

— Tyle czasu! Tyle czasu nadarmo! — denerwują się chłopcy. Betoniarza nareczenie ruszyło! Z hukiem obraca się jej bęben jak bezustanny kołowrót.

— Wody! Ela więcej wody! Rób rzadką zaprawę! — woła kolega Gębski z obsługi maszyn do koleżanki Skowronkówny, praktykantki ze szkoły mechanicznej we Wrocławiu. Ela odkłada kurek hydrantu.

— Piasiek! Piasiek! Wapno! Cement! — Nowa lina podciąga koszyk, wysypując porcję wapna, piasku i cementu do bebn, który skolei wylewa zaprawę do skrzyni. Koleżki z grupy Ozanowskiej i Szczygło ładują ją do taczek szybko i sprawnie i wiozą na budowę po rozłożonych deskach.

Młodzi murarze podreżni i pomocnicy tyraliera na murze rozlewają szuflami wapno. Inni rozgarniają, podają i układają cegły. Cegła przy cegle.

— Waskie fugi! Waskie fugi! — woła kolega opodal mnie. — Bliziej kolego, bliżej. Nie zmieszaj drugie cegły. Jeszcze bliżej. I mocniej! Stuknąłbyś butem, albo cegłą, jak nie chce wejść! O tak! Nigdy ręka! Odgnieciess!

Patrz, kto tak w tępie karabinu maszynowego instruuje młodych, niedoświadczonych jeszcze murarzy. Kto? To przecież warszawski murarz

z Mariensztatu, Porecki Wacław, który z Krajewskim i Religą zaczął pierwszy stosować w Polsce „system trójkowy” w murarstwie.

Co tu robicie? — pytam. — Nie widzicie? Muruję — śmieje się. — Przyjechalśmy tu w czterech z Głównego Inspektoratu Usprawnień jako instruktorzy. Chodzi o podniesienie poziomu pracy młodzieży na budowie i zapoznanie jej z najnowszymi

metodami, z wianiem wielorodowym systemem taśmowym. Trzeba całkowicie przejść na pracę zespoloną. Przez młodzież pójdzie to na całą budowę. Nowa Huta musi być budowana nowoczesnym sprzętem i nowoczesną metodą!

ustanowił rekord Polski — 13 tysięcy 946 cegieł, czyli 38 m. sześć, w 8 godzinach. Został odznaczony przez Prezydenta Sztandarem Pracy II klasy.

W lipcu zeszłego roku Wadowski położył pierwszą cegłę na budowie

Winkiel, kolego, winkiel! Nad winkiem schyla się starszy, szczipły majster w kapeluszu na głowie. Na jego opalonych nagich plecach błyszczą drobniutkie kropki potu. Murarz poprawia cegłę, ustawia winkiel. Ogarnia wapno kielnią.

— To jest majster Wadowski — mówi Porecki — opiekun młodzieży murarskiej na Hucie. Wybitny wyznawca. W maju zeszłego roku

Nowej Huty. Dzisiaj szkoli tu nowe kadry młodych murarzy.

Bliziej bracie! Bliziej winkla! słysząc jak poprawia cegły kielnią przez młodziutkiego murarza.

— Ciągniemy 1.100 proc! — 1.100 proc, chłopcy! — rozchodzi się z ust do ust podawany komunikat z frontu budowy. Błysnęły oczy radością. Usłechy zaświeciły na młodych twarzach ztroskanych przed chwilą z powodu awarii. — 1.100 proc. normy, chłopcy, 1.100 proc!!!

Młodzi murarze Nowej Huty pobili młodzieżowy rekord Polski w murarce. Dwa zespoły 12 osobowe położyły 34 tysiące 728 cegieł w 8 godzin — uzyskując 525 proc. normy. Bezpośrednio po robocie bohaterzy dnia ubran w granatowe robocze kombinizony pomaszzerowali z czerwonymi sztandarami zameldować o swoim zwycięstwie sekretarzowi Komitetu Partijnego.

Sztafeta młodych murarzy — przystaje na szosie dając drogę przejeżdżającym ciężarówkom. Majster Wadowski z godnością przypina znaczący przedownik pracy — emalowaną gwiazdę z podobizną Pstrowskiego.

— Zapomniałbym na śmierć! A przecież kiedy jak kiedy, ale w takim dniu, kiedy moi uczniowie ustanowili rekord młodzieżowy Polski — godzi mi się go przypiąć.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

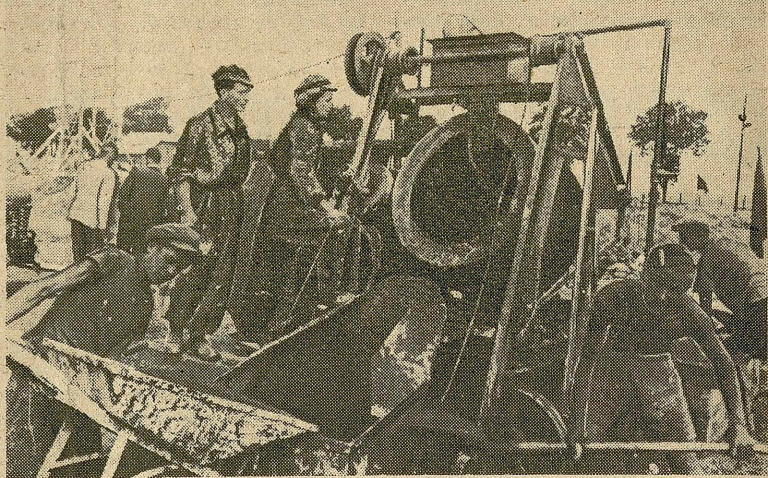
Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.

— Napiszcie — zwraca się do mnie z szeregu młodych murarzy kolega Szczygło, mrucząc w słońcu duże niebieskie oczy i długie, jasne jak spłowiły len rzęsy, — napiszcie, że my dzisiaj tak pracowaliśmy na uczczenie 22 lipca jako odpowiedź imperialistom na agresję w Korei!

Jako odpowiedź imperialistom — powtarza, przekrzykując wzmocniony w tej chwili warkot motorów.



Młodzież ZMP przy budowie Nowej Huty.

SZCZEGÓŁ TEŻ MA WYMOWĘ

czyli o Czynie Lipcowym w naszej wsi

Ten rów przecinający boczną drogę, prowadzącą do sześciu gospodarstw (w tym do dwóch bogaczy wiejskich), jeżeli rok był bardziej mokry, stałby się napełniony wodą. Na skutek zruszenia ziemi na drodze po obu brzegach rowu, płynąca woda stała się znowu przetrącać, a z czasem na tej drodze powstała niewielka jezioro, głębsze od rowu. Latem przejazd był męką, a zimą katastrofą wielką.

Ten przejazd gniewał mnie od dawna. Jeszcze przed ostatnią wojną namawiałem sąsiadów, aby wreszcie zabrać się i zrobić sobie ludzki wyjazd bo to i nie ładnie, i nie przysto tak się na tym przejeździe mordować. Ten i ów machnął ręką.

Nie dawałem za wygraną, poszedłem do urzędu gminnego, tłumaczyć jak to dla nas nieszczenie jest, ten przejazd przez rów na drodze. Przedwojenny wójt W. Kempinski siedemnasto hektarowy gospodarz, rozłożył beznadziejnie ręce i odpowiadał: — Ja wam nie pomóc nie mogę. Urywajcie tam sobie głowy, jak chcecie, nas to mało obchodzi. Na rury pieniędzy wam nie damy. Wszyscy tam od lat są zadowoleni, tylko wy coście się gdzieś ze świata przywiekli, dziwnych wygód szukacie. A może wam tam asfalt położyć i limuzinę podarować. Co?

Dalej nie poszedłem. Wiadomo, że wójt był wszystkim w wyższej władzy a chłop czegoś domagający się ponad głowę wójt, był niczym. Kłamał jak inni i dalej jeździłem przez to jezioro głębokie na drodze.

Kogoś ta droga boczną mogła obchodzić. Pierwszy koło niej gospodarz szesnastohektarowy, Cyranowski był nie byle kim. Opłacał stale „Mały Dziennik” z Niepokalanowa, zachwycał się ideją pałkary, walać stragany Żydów, którzy na suchy chleb kilka groszy robili przy dniach targowych, a ręce innym bogatym Żydom podawał, bo często ich pożyczek potrzebował i pierwszy takiemu czapkawał, stojąc nieraz u drzwi. Ta droga Cyranowski sam rzadko przejeżdżał; ze zbożem, opalem, nawozem i ziemiakami przejeżdżał jego parobcy. On tylko sobie stanął opodal, posunął białą czapkę na tył głowy, złożył ręce z tyłu i pokrzykiwał: — Gamoniu, ciemajdo, jak jedziesz! Ciebie batem a nie konia! Jak mi wóz polamiesz, to go... dostaniesz a nie zapłatę roczną!

Pani Genowefa Masztak, także tą drogą nie jeździła, dzierżawiąc stale swoje 18 ha co rok innym dzierżawcom. Miała pozatym 10 ha lasu i dodatkowo 5 ha łąki. Mówi: „Pani Masztak”, bo pan Masztak mało miał tu do gadania, zajęty kierownictwem szkoły i „cudami” podczas wyborów. Dzierżawcy tylko wzruszali ramionami na wspomnienie o potrzebie naprawienia tej drogi. Może i mieli rację dowodząc, że „ja dziś tu — jutro tam”. A reszta? Czy taki M. Mantyk co 87 lat liczył miał brać za szpadel? O Suskim to już i mowy nie było. Mogło sobie zboże na polu dojrzać, mogła się krowa cieć, świnia prosić, ziemniaki na polu chwastami zarastać — on musiał być w poniedziałek na targu w Lipnie, we wtorek na targu w Kiele, we środę na targu w Skempie,

a we czwartek na targu w Czernikowie. Tylko nie koniecznie mu się to jakoś składało, gdyż i w Lipnie znów przypadają na czwartki i to go złościło, że jednocześnie w Lipnie i Czernikowie nie mógł być. Nie był to żaden handlarz — nałóg gapienia się na przystanku i dobijanie ceny, był jego całym zadowoleniem.

Ostatni i szósty obywatel przejeżdżający tą drogą, to chyba już największy i najekscytowalszy okaz z pominięciem nas tu sześciu zamieszkałych. Nigdy się niczym nie przejmował, zawsze pogwizdując i wesóło, na swoich jedenaście hektarach. Gdy ludzie już szli, orali, sprząkali, on jeszcze miał w izbie, w której spał, dziurawymi kocami okna pozastawiane i spał w najlepsze. Krowa beczy, świnia kwiczy a on śpi i niczym nie przejmując się. Ludzie na południe wyprzedzają konie, on łapie wójt i jedzie w pole. Potem sobie leży w cieniu drzew. Gdy już słońce czerwienieje, schylając się ku zachodowi, on zrywa się do roboty.

Rozkoszy ten człowiek nie miał, biedusia aż kwiczał, ale miał dwa białe szale, które naraz wkładał, niech ludzie widzą, że ma. Miał rękawiczki, w których obornik na polu rozrzucał. Miał kapelusz, który na bakier nosił i o rózę zawsze się wystrasał dla przypięcia jej sobie, gdy mu wypadła wyjąć z domu. Dziś leciał za pożyczką soli, jutro zapalek, innego dnia za pożyczką nafty, grabi, młotka, worka, gracy, lejców. Nigdy niczego nie odnosił.

Co mogę sam o sobie powiedzieć? Chciałem mieć dobry wyjazd, ale po za drogą, na której jezioro stało, miałem i inny wyjazd, którego żaden z sąsiadów nie posiadał. Mówiłem sobie zatem: jak wam dobrze, dobrze i mnie.

Jakoś na początku czerwca b.r. redaktor „Ziemi Pomorskiej” z Bydgoszy ob. Kołodziejczyk jedzie do mnie w związku z wyróżnieniem mnie przez Instytut Czytelnika w „Opisie Mojej Wsi” i musi przejeżdżać właśnie przez to jezioro na drodze i zaraz mnie karci za tę drogę. Po odjeździe Ob. Kołodziejczyka otrzymuję list z jednej redakcji z Warszawy, w którym zapytują mnie, jak i czym myślimy w Karnkowie uczcić pamięć w historii naszej dzień 22-go lipca?

Sytuacja teraz zmieniła się. Pani Masztak posiadająca 18 ha, kłnie na „duże” podatki, rezygnuje z gospodarki, ale ziemi nie sprzedaje, bo: „wojna tój, tój a po wojnie znów będzie ją wydzierżawiać i gotowe koczki odbierać”. Ziemię oddaje gminie, ale się ziemi nie życzka. Gmina wydzierżawia ją po kawałku małorolnym: Głowackiemu, Karbowskiemu, Wiśniewskiemu, Zawickiemu, Kuligowskiemu i Zenobergowi, którzy tą drogą muszą przejeżdżać. Idę od jednego do drugiego i powiadam:

— Słuchajcie, moi kochani! Tak dużo być nie może. Nie będziemy już więcej tonać na tej drodze. Zbliża się rocznica Manifestu Lipcowego. Uczcijmy ten dzień czynem, którym będzie nabycie rury i nawiezienie jej ziemi. Zgodzili się z wielkim zadowoleniem. Już w dniu 11-go lipca cztery pary koni zwoziły ziemię a 14 ludzi pracowało z entuzjazmem. Zaczęliśmy pracę o ósmej rano a przed piątą po południu już jezioro na drodze zniknęło. Nikt więcej na tej drodze tonać nie będzie, konie nog łamie nie będą i wózwoz nikt łamać nie będzie.

Cyranowski wyjechał pomóc swoją parą koni dość późno, leniwie i jakby pod przymusem. Bo poco to wszystko, przecież jego tata tamtejsze przez to jezioro przejeżdżał i setnych lat się doczekał. Ale wyjechał, zamysłony widocznie o tej białej czapce wiszącej na kółku w kuchni koło obrazu, w której za dawnych, dobrych czasów stał opodal tej drogi i dał się na parobków: Jak jedziesz gamoni, jak mi wóz polamiesz to dostaniesz g... a nie zapłatę roczną!

Biała czapka... przysiadł ją kurz i tylko żałować w sercu Cyranowskiego budzi, jak to dawniej dobrze było.

Nawet sam Rejmer wyjechał parą koniami i to bez rękawiczek i dwóch szali na swojej szyi. Wszyscy dowcipkowali podczas pracy i omawiali sprawy społeczne, tylko ci dwaj milczkiem robili, żli, że dziś takie „dziady” małorolne jakimś czynami lipcowymi, tak jak Zawicki, Kuligowski, Wiśniewski, Zenoberg, Głowacki i Karbowski, swoją uchwałą i postanowieniem i ich zmuszając do uczczenia manifestu, który z ich parobków ludzi porobił, dał im ziemię a oni dziś muszą poniżyć swoją godność pracy.

Nie wiem czy w przyszłości będę wyróżniony w jakim konkursie i nie wiem, czy w przyszłości jaki redaktor zawiąta do naszej dziury, ale wiem, że już nikt na ten przejazd narzekać nie będzie.

W. S.

„MALUM NECESSARIUM”

W ostatnim (30) numerze „Tygodnika Powszechnego” zamieszczony został znamienne lakoniczny artykuł redakcyjny z okazji 6 rocznicy wyzwolenia. Rozmiar i treść tego artykułu wyraźnie świadczą o tym, jak niechętnie mówi „Tygodnik Powszechny” o problemach, którymi żyje cały naród. Niemniej zawarte w tym artykule zdania niedwuznacznie określają „historiozoficzne” i polityczne stanowisko jego autorów.

Nawiązując do sytuacji historycznej, w której zrodził się Manifest Lipcowy, artykuł głosi: „Nie łatwo było wówczas zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów, przemoc stare nawyki myślowe i uczuciowe i zrozumieć, że przed krajem otwiera się tylko jedna, uwarunkowana naszym położeniem geopolitycznym (podkr. nasze) droga pokojowej odbudowy, t. zn. droga ścisłego zbliżenia między Polską a ZSRR”.

To w formie bezosobowej wypowiedziane zdanie insynuuje, iż komuś było niełatwo pogodzić się z koniecznymi historycznymi faktami. Ale komu niełatwo? Komu było niełatwo „zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów”? Masom ludowym, które wsparły ramieniem Armii Czerwonej i Odrodzonego Wojska Polskiego sięgnęły zdecydowanie po władzę, by jej już nigdy nie oddać? Komu było niełatwo „przemoc stare nawyki myślowe i uczuciowe”? Robotnikom i chłopom, którzy wszystkie swe myśli i uczucia związali z nową uwalniającą się od uścisku hitlerizmu i rodzimych kapitalistów i obszarników. Polska? Kto miał stare nawyki myślowe i uczuciowe? Klasa robotnicza i pracujące chłopstwo, które od wielu lat prowadziły rewolucyjną walkę o nową, dzisiejszą Polskę? Kto miał stare nawyki myślowe i uczuciowe? Czy ludzie, którym najdroższy był postęp kulturalny i oświaty powszechnej? Komu było niełatwo zrozumieć, że „przed krajem otwiera się tylko jedna droga...”? Masom pracującym dotychczas uciśkany i wyzyskiwanym, które w pierwszym na świecie Państwie robotników i chłopów widziały niezwykłego socjalistycznego walec o społeczne, narodowe i polityczne wyzwolenie? Nie, nie tym!

Czy ludziom wierzącym, katolikom, którzy w przynajmniej większości wiązali się do pracy nad odbudową kraju, nad realizacją zadań, wytkniętych przez Rząd Ludowy? Nie, nie tym! Musi to przynajmniej zresztą sam „Tygodnik Powszechny”, stwierdzając przecznie, iż „byłoby śmieszny i groźnym błędem, gdyby katolicy zamysłali oczy na osiągnięcia minionych sześciu lat, dlatego, że różniła się światopoglądowo od twórców Manifestu Lipcowego”.

Przychodzę do Chorągwy do soltysa tej gromady obywat. Flura Franciszka. Siedział przy stole na ławce i szły wórek. Na mój widok odłożył igłę i mówił, że trzeba wódek poratować i zalać, bo to każda rzecz w domu się przydaje, a nie czeka czasu aż w worku większa dziura się wydrze.

Zaczęliśmy rozmawiać, najpierw o tym, że deszczu mało spadło na ziemi, że ziemniaki w polach są liche, że pierwsze siano zebrane było dobre, ale że jest sucho i słońce pali to i potrawy zdaje się w tym roku będzie brak.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o gromadzie. Zadaniem naszym jest teraz, mówi soltys Flura, zbudować dla naszych dzieci w gromadzie przedszkole. Zakupiliśmy na ten cel 60 metrów cementu. Cement odwieziony został do Niedzowa, gdzie z niego wyrobili pustaki. Zakupiliśmy już parę parafel budowę tego przedszkola. Kierowniczką przedszkola będzie ob. Sitko Maria.

Po wyzwoleniu od okupanta dużyśmy już zrobili we wsi. Złożyliśmy Straż Pożarną — mamy już motopompę i około 200 metrów węży i wszelkie potrzebne przybory. Wybudowaliśmy dom ludowy własnym kosztem i własnymi siłami. Gmina Koźnice Wielkie dała nam na ten cel tylko 5 tysięcy złotych i to było od nich wszystko. Teraz w domu ludowym odbywają się zebrania ZSCh i ZMP. Do świetlic przychodzi młodzież, czyta gazety, książki i słucha referatów. Mamy częste zebrania gromadzie.

Przy zwożeniu materiału na dom ludowy najwięcej pracy bardzo honorowo oddali: Podstolak Jan i 20 honorowych członków Straży Pożarnej. Pomyślicie, przecież przed wojną za czasów sanacji były u nas we wsi związki młodzieżowe, a nie nie potrafiły zrobić.

Musimy mieć też w Chorągwie szkołę. Ze szkołą to u nas były przed wojną hece, wstyd przypominać. Ale opowiem, żebyście wiedzieli, jakie były te sanacyjne rządy i jak nas bogacze urządzili. Była u nas przecież we wsi szkoła powszechna dla młodzieży i mogłaby ta szkoła być u nas do dnia dzisiejszego i dzieci chłopów z Chorągwy nie musiałby biec teraz aż do szkoły w Mielnie. Szkołę w Chorągwie wybudowała zaraz po pierwszej wojnie gmina, ja sam chodząc do tej szkoły, jak byłem jeszcze chłopcem — mówi soltys Flura. W szkole mieszciano się 1 duża klasa 3 pokoje 2 korytarze i 2 piwnice...

— No i co się stało z tą szkołą? — Otóż za czasów sanacji — Soltys Flura spłunął z obrzydzeniem — bogacze, którzy wtenczas trzęśli gminą, sprzedali, dranie szkoły. Bo mówili, że lepiej jest kupić i mógłasu, w którym chcieli kamień kopać i

Więc komu było niełatwo? Niełatwo było ludziom i grupom, na które historia wydała nieodwracalny wyrok. Istotnie, niełatwo było „Tygodnikowi Powszechnemu”, który reprezentuje interesy i ideologię tych grup. Niełatwo było „zrozumieć” bieg historii, kapitalistom i obszarnikom, dla których rewolucyjne przemiany naszego kraju były „ziem koniecznym”. Istotnie, niełatwo było „zrozumieć” bieg dziejów „Tygodnikowi Powszechnemu”, który głosi burżuazyjną doktrynę „zła koniecznego”, wynikającego z „położenia geopolitycznego”. Pamiętajmy dobrze doktrynerów, którzy w pierwszym okresie po wyzwoleniu „godzili się” na t. zw. rację stanu, po to w rzeczywistości, ażeby zachować możliwość przeciwdziałania biegowi wydarzeń przy pomocy przeróżnych krechów metod.

Niechże więc „Tygodnik Powszechny” nie przemawia w „czymś” imieniu. Wolno mu bowiem przemawiać tylko w swoim, tylko w imieniu grupy ludzi, która wraz z nim znajduje się na marginesie współczesności. Niechże „Tygodnik Powszechny” nie usiłuje dezorientować katolików wskazaniami na rzekome trudności dla nich, wynikające stąd, iż w Polsce buduje się „socjalizm na bazie materialistycznej”.

Podział bowiem na tych, którzy budują socjalizm i tych, którzy w tej budowie „przeszkadzają”, określony jest nie przez podział na wierzących i niewierzących, na katolików i niekatolików, lecz przez podział na tych, dla których fundamentem jest praca i na tych, dla których fundamentem był wyższy człowiek.

Wiadomo, czyja to doktryna „położenia geopolitycznego” i wiemy, że obliczona jest ona na sianie fałszywych sprzeczności z elementarnymi prawdami historycznymi teorii. Wiadomo dla kogo nieodwracalne przemiany historyczne były w najlepszym wypadku „malum necessarium”, a dla kogo zrozumiałym i oczekiwanym procesem. Niechże więc „Tygodnik Powszechny” nie sili się na „nowo” tłumaczyć historie. Niech lepiej spróbuje przy pomocy „obiednych, utopistyczno-anarchistycznych” itp. felietonów wytłumaczyć sobie względami „geopolitycznymi” zgodność swej doktryny politycznej z doktryną swoich rodzimych i obcych protektorów.

Sądymy, iż byłoby to słuszniejsze niż twierdzenie, jakoby niełatwo mu było „zdać sobie jasno sprawę z biegu dziejów”. Bowiem nie jest prawdą, jakoby „Tygodnik Powszechny” nie zdawał sobie sprawy z biegu dziejów. Prawda jest natomiast, że nie łatwo, ba! ciężko i boleśnie jest mu z tym biegiem dziejów się pogodzić.

Zbigniew Szaroi

Jak bogacze przehandlowali szkołę

Przychodzę do Chorągwy do soltysa tej gromady obywat. Flura Franciszka. Siedział przy stole na ławce i szły wórek. Na mój widok odłożył igłę i mówił, że trzeba wódek poratować i zalać, bo to każda rzecz w domu się przydaje, a nie czeka czasu aż w worku większa dziura się wydrze.

Zaczęliśmy rozmawiać, najpierw o tym, że deszczu mało spadło na ziemi, że ziemniaki w polach są liche, że pierwsze siano zebrane było dobre, ale że jest sucho i słońce pali to i potrawy zdaje się w tym roku będzie brak.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o gromadzie. Zadaniem naszym jest teraz, mówi soltys Flura, zbudować dla naszych dzieci w gromadzie przedszkole. Zakupiliśmy na ten cel 60 metrów cementu. Cement odwieziony został do Niedzowa, gdzie z niego wyrobili pustaki. Zakupiliśmy już parę parafel budowę tego przedszkola. Kierowniczką przedszkola będzie ob. Sitko Maria.

Po wyzwoleniu od okupanta dużyśmy już zrobili we wsi. Złożyliśmy Straż Pożarną — mamy już motopompę i około 200 metrów węży i wszelkie potrzebne przybory. Wybudowaliśmy dom ludowy własnym kosztem i własnymi siłami. Gmina Koźnice Wielkie dała nam na ten cel tylko 5 tysięcy złotych i to było od nich wszystko. Teraz w domu ludowym odbywają się zebrania ZSCh i ZMP. Do świetlic przychodzi młodzież, czyta gazety, książki i słucha referatów. Mamy częste zebrania gromadzie.

Przy zwożeniu materiału na dom ludowy najwięcej pracy bardzo honorowo oddali: Podstolak Jan i 20 honorowych członków Straży Pożarnej. Pomyślicie, przecież przed wojną za czasów sanacji były u nas we wsi związki młodzieżowe, a nie nie potrafiły zrobić.

Musimy mieć też w Chorągwie szkołę. Ze szkołą to u nas były przed wojną hece, wstyd przypominać. Ale opowiem, żebyście wiedzieli, jakie były te sanacyjne rządy i jak nas bogacze urządzili. Była u nas przecież we wsi szkoła powszechna dla młodzieży i mogłaby ta szkoła być u nas do dnia dzisiejszego i dzieci chłopów z Chorągwy nie musiałby biec teraz aż do szkoły w Mielnie. Szkołę w Chorągwie wybudowała zaraz po pierwszej wojnie gmina, ja sam chodząc do tej szkoły, jak byłem jeszcze chłopcem — mówi soltys Flura. W szkole mieszciano się 1 duża klasa 3 pokoje 2 korytarze i 2 piwnice...